POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 18-go września 1943r.** **Rok V. Nr. 37**

PRAWO I ŻYCIE

PRZYCZYNY NIEPOSZANOWANIA PRAWA

Robią nam zarzuty i sami sobie często robimy wyrzuty, że za mało szanujemy prawo. Tłumaczymy to sobie, jak możemy, aby zarzuty osłabić i wyrzuty zagłuszyć. Wiele jest prawdy w naszych tłumaczeniach.

A więc najpierw — tłumaczenie, którym się zresztą chętnie posługujemy w wielu różnych wypadkach, że to skutek niewoli. Jak możemy szanować prawo, kiedy ono było prawem naszych wrogów, naszych zaborców, a służyło im tylko po to, aby nas zniszczyć. Przez sto pięćdziesiąt lat "prawa" niemieckie, rosyjskie i austriackie miały na celu wypędzić nas z ziem polskich, a jeśli się to nie uda — zrobić z nas Prusaków, mówiących po polsku, albo Słowian utopionych w morzu rosyjskim, lub jednym z ludów Austrii, który zatracił świadomość niewoli.

Uratowaliśmy polskość dzięki temu, żeśmy się tym prawom nie poddali, żeśmy je usiłowali wszędzie i zawsze obejść, albo wprost z nimi walczyć. Nic dziwnego, że ten stosunek do prawa po stu pięćdziesięciu latach nie mógł się w ciągu dwudziestu lat gruntownie zmienić. Musiał pozostawić po sobie gęsty osad.

Była jeszcze inna przyczyna, która działała częściej i silniej w Polsce, niż gdzie indziej. Przyczyną tą były wojny niemieckie, najazdy tatarskie, wojny szwedzkie, tureckie, moskiewskie.

Wojna nigdy nie jest prawu przychylna. Podczas wojny nie ma nikt prawa nawet do życia, tym mniej do własności lub wolności. Krótkie okresy między wojnami nie przywracają równowagi w zburzonych pojęciach prawa i sprawiedliwości.

W tej wojnie my na sobie widzimy, co nasi wrogowie zrobili z prawa. A jak to zaraźliwie działa — możemy się przekonać z wypowiedzi nawet naszych przyjaciół, którzy nieraz każą nam zgodzić się z bezprawiem.

Wojny, zwłaszcza wojny napastnicze muszą również wywołać niewiarę w prawo i brak dla niego szacunku.

Powyższe tłumaczenia są próbą wykazania naszej niewinności i rzeczywiście do pewnego stopnia nas tłumaczą. Jednak i tu dzielimy winę z zaborcami i napastnikami, boć przecież i niewola i te ciągłe wojny — przeważnie przegrywane, nie są tylko winą naszych wrogów.

Nie wyczerpuje to jednak sprawy. Bo to przecież my stworzyliśmy jeszcze przed 150-letnią niewolą hasła takie, jak: "Polska nierządem stoi," to my cieszyliśmy się, że "wolno w Polsce, jak kto chce," to my poszukiwaliśmy sprawiedliwości "prawem i lewem." Tu już głównie leży nasza wina.

Jednym z jej źródeł jest nasz stosunek do ziemi. Nie wiadomo, czy nasz charakter wytworzył ten stosunek, czy nasz ustrój rolny i stosunek do ziemi wytworzyły ten charakter, dość, że rolnicza budowa Polski wyhodowała wybujały indywidualizm, który zwyradniając się, przeszedł w chorobliwą drażliwość własnej godności, w pychę, zarozumiałość i wszystkie inne wady z pychy ród swój wywodzące.

Szlachcic na zagrodzie sądził, że jest równy wojewodzie, Sobiepan Zamoyski uważał Zamość za swoje królestwo, a króla szwedzkiego za takiegoż pana w Szwecji, aż wreszcie indywidualizm osiągnął najwyższy triumf w "*liberum veto,*" stwarzając bezprzykładny paradoks, że dla poszanowania głosu jednostki poświęcano głos zbiorowości. W atmosferze wyniesienia jednostki aż tak wysoko, prawo nie mogło święcić triumfów.

Szlachcic żył że swej ziemi, był samowystarczalny, do nauki garnąć się nie potrzebował, bo i tak mógł być królem, w wojsku służyć nie lubiał, gdy żniwa mogły na tym ucierpieć, słowem nikt nie mógł mu nic rozkazywać, bo to urażało by świętą wolność. Prawo nie mogło mu nic nakazać, istniała tylko dobra wola braci szlachty.

To też jak prawo w tych warunkach mogło wyglądać — mówią nam ówczesne pamiętniki i historycy naszych czasów, jak W. Łoziński w "Prawem i lewem," jak Starczewski w "Widmach przeszłości," jak woźny Protazy, który "buchnął w kapustę" i omal kulka go nie dosięgła za to, że ośmielił się protestować przeciw gwałtom.

SKUTKI

Trzy czynniki, o ile chodzi o wpływy ludzkie, składają się na dzieje ludzkości: jednostki, społeczeństwo i instytucje.

Rzadko się spotyka równowagę tych czynników. Takim szczęśliwym krajem jest Anglia. Zresztą nie po raz pierwszy w historii. Obecnie ma wielkiego "leadera," społeczeństwo karne i instytucje wiekami wypróbowane. Musi zwyciężyć inne organizmy, w których nastąpiło zwyrodnienie jednego z tych czynników.

Jeśli bowiem wybije się jednostka ponad prawo i społeczeństwo, to zachodzi niebezpieczeństwo dyktatury. Skutki jej poznaliśmy obecnie.

Jeśli społeczeństwo chce się rządzić samo i doprowadzi do rozbicia woli zbiorowej na szereg niezależnych ośrodków, będziemy mieli polską anarchię wieku XVII-go i XVIII-go.

Jeśli znowu zasklepi się w swych formach i instytucjach i murem się odgrodzi od wszelkich zmian — będziemy mieli dawne Chiny.

Z tych trzech czynników, jeśli już miało by się ustalać ich hierarchię, ich kolejną ważność, dla nas najbardziej potrzebne są instytucje. Jednostki mijają, społeczeństwo podlega zmianom, lecz stałość i trwałość organizmów społecznych wprowadzają instytucje, w pierwszym rzędzie instytucje prawa, jakimi są przede wszystkim sądy.

Zmienny i pobudliwy charakter polski potrzebuje trwałego oparcia. Stosować się do tego charakteru znaczyło by ciągle coś zmieniać, ciągle inną ustawę pozbawiać mocy prawnej, aż wreszcie samo prawo będzie pozbawione wartości. Trwałość instytucyj prawnych i posłuch dla nich jest konieczną, a bardzo pożyteczną szkołą dla polskiego charakteru.

Trwałość ustaw wprowadza przyzwyczajenie do posłuchu prawom, częste zmiany wprowadzają niepewność i oczekiwanie zmian, a co zatem idzie wstrzymywanie się z posłuchem prawu, uważanemu za przejściowe.

Dlatego to ustawy muszą być starannie obmyślane, obliczone nie na chwilę, lub jakiś doraźny skutek, zwłaszcza osobisty, gdyż to właśnie powoduje ich częste zmiany, w których społeczeństwo widzi zamiast ustaw — akty administracyjne, czego byliśmy świadkami przed wojną.

Prawo nie może istnieć dla wygody jednostek czy grup, prawo ma służyć całemu społeczeństwu i całe społeczeństwo ma prawo kontroli nad jego wykonaniem.

KOREKTURA

Jednakże — Goethe miał nieco słuszności, kiedy mówił w Fauście o dziedziczności ustaw, jak o dziedziczności chorób. Chciał przez to powiedzieć, że ustawy nie mogą zawsze nadążyć za życiem i istnieją często mocą bezwładu, stają się dziedziczną chorobą.

Są istotnie okoliczności, w których konieczność wymaga zmiany ustaw. Jeśli to jest prawdziwa konieczność, należy ustawę zmienić. Nigdy nie należy postąpić wbrew ustawie.

Tak, ale to jest zasada. Lecz w ludzkich stosunkach regulowanych prawem nie ma zasad bezwzględnych. Dlatego istnieje prawo wyższej konieczności, a polega ono na tym, że dla ratowania dobra większego można poświęcić mniejsze, jeżeli tego nie da się uniknąć w inny sposób, a ratowane dobro jest niewspółmiernie ważniejsze, niż dobro, które się poświęca. Jeśli przytem pogwałci się prawo — nie ma za to kary.

Leży tu jednak wielkie niebezpieczeństwo — w ocenie tych proporcyj. Dlatego, kto się odważa na to, musi wziąć na siebie wielką odpowiedzialność. W zakresie jednostkowym badają sądy, czy ta dysproporcja zachodzi, w zakresie szerszym ocenia to społeczeństwo.

Tym się tłumaczy bezkarność udałych rewolucyj, bo tu sąd społeczeństwa, które rewolucji zwycięstwo zapewniło — jest wyrokiem. Jeśli się rewolucja nie uda, rewolucjonista idzie na szafot, bo popełnił omyłkę w ocenie tych proporcyj. Społeczeństwo w swej czynnej większości nie uznało jego poglądu. Jego działalność uznało za bezprawie.

Dlatego tłumaczenie tych, co dążą do pogwałcenia ustaw tym, że życie tego wymaga, potrzebuje zawsze potwierdzenia sądu lub wyroku społeczeństwa.

Żadne może społeczeństwo nie potrzebuje więcej wpajania szacunku dla prawa, niż nasze, właśnie z powyższych powodów. Niestety, skłonni jesteśmy uważać za słuszne prawo to, co nam dogadza, za niesłuszne — to co w prawie nam się nie podoba.

Jeden z wysokich oficerów przypominał bardzo charakterystyczny epizod. Bezpośrednio po tamtej wojnie odbywała się konferencja w sprawie awansów. Ktoś zaproponował pewien awans niezgodny z ustalonymi normami dla awansów. Wówczas nie żyjący już generał R. wygłosił wspaniałe przemówienie o sposobie stosowania się do prawa, zawartego w ustalonych zasadach awansowych.

—Musimy dać przykład — mówił gorąco — że prawo zawsze trzeba szanować.

Ogólny aplauz nagrodził te słowa. Po pewnym czasie zaczęto omawiać inny awans, zaproponowany przez tegoż generała. Wtedy referent generalny zrobił uwagę, że nie ma tu warunków wymaganych przez prawo.

—E, co tam prawo — rzucił zniecierpliwiony generał.

W każdym z nas jest trochę z tego generała. Walka z tą naszą cechą jest trudna, ale jest konieczna, jeśli chcemy uniknąć wielu błędów przeszłości. Walkę tę ułatwi nam przykład tego kraju, w którym przeznaczenie nas umieściło.

STANISŁAW SZURLEJ

ANDRZEJ WART: Zapuszczanie silnika



Szkic sytuacyjny

POLITYCZNY OBRAZ WŁOCH

Reakcja społeczeństwa brytyjskiego na wypadki we Włoszech była niezwykle zdrowa i wskazana. *Kapitulacja sił zbrojnych Włoch wywołała radość, ale nie przesłoniła przed społeczeństwem brytyjskim głównego zadania: pobicia Niemców we Włoszech.*

Jeżeli chodzi o następstwa polityczne klęski włoskiej, to można by je tak oto streścić:

1/ *t.zw. "Oś" przestała istnieć, Włochy wyszły z wojny.* Pomimo, że mogły się spodziewać zemsty niemieckiej i że liczyć się musiały z wrogą okupacją, Włochy wolały ryzykować to wszystko, aniżeli dalej walczyć u boku Niemców. Jest to dowód, że nikt z Włochów nie wierzy w zwycięstwo Rzeszy.

2/ Włochy opierają się okupacji niemieckiej na dwa sposoby: czynnie, opór wojskowy, i biernie, opór robotników, warsztatów pracy. Pierwszy sposób nie wydaje się zbyt mocny. Wojska niemieckie zdławiły opór włoski. Nawet na wyspie Rhodos, gdzie włoski garnizon był w przewadze, zdołano złamać go przy pomocy nurkowców. Reakcja wojska niemieckiego *była szybka i sprawna* — zarówno we Włoszech, jak na Bałkanach. Opór bierny Włoch jest poważniejszym czynnikiem. Strajki i sabotaże dadzą się napewno odczuć wojskom okupacyjnym.

3/ *Król, rząd włoski i sztab są przypuszczalnie poza lądem stałym Włoch.* Rzym jest zajęty przez wojska niemieckie, Watykan "pod strażą niemiecką." Zajęcie Rzymu poprzedzone było niszczącym bombardowaniem. Jednostki morskie Włoch dobiły do Malty oraz do innych punktów. Okręty podwodne Włoch dopływają dalej. Niemcy zdołali przytrzymać starsze jednostki na Adriatyku /Pola, Triest/, może niektóre w Genui. *Nie wiemy jaki los spotkał włoską marynarkę handlową. Niemcy nie będą mieli jednak z niej wielkiego pożytku, skoro panowanie na morzu nie jest w ich rękach — przeciwnie, W. Brytania dzierży je dzisiaj niepodzielnie.*

4/ *Istnieje możliwość wejścia Włoch do wojny po stronie sojuszników*, na co wyraźnie wskazywała deklaracja marszałka Badoglio.

5/ Niemcy twierdzą, że "oswobodzili" Mussoliniego przy pomocy wyprawy spadochronowej. Nie wiemy, czy stworzą obecnie jakiś rząd faszystowski, czy też powstrzymają się od takiej komedii. Jeżeli Duce zaryzykowałby powrót do władzy, dowodziło by to, że jest całkowicie zgrany. *Byłby to powrót widma.*

WOJSKOWY OBRAZ WŁOCH

Jeżeli chodzi o działania wojskowe zarówno we Włoszech, jak na Bałkanach, to można by ująć je w takie oto punkty:

1/ Wojska sojusznicze dotarły pod Neapol, napotykając po drodze na twardy opór niemiecki, m.in. 16-ej dywizji pancernej. Armia amerykańska dąży do połączenia się z armią brytyjską działającą u podstawy włoskiego "buta," koło Brindisi i Bari. 8-*ma armia brytyjska dąży wyraźnie do pochwycenia punktów naprzeciwko Bałkanów, przede wszystkim Albanii oraz przedostania się na adriatyckie pobrzeże Włoch, które musi być najgorzej obstawione i bronione.*

2/ Wojska niemieckie sforsowały Brenner, zajmują północne Włochy. Przypuszczalnie oczyszczają one teren po Rzym. Garnizon w Rzymie poddał się. Czy istnieje już łączność między wojskami niemieckimi w Rzymie i Neapolu, nie wiemy, ale wiele na to wskazuje.

3/ *Rzesza ma dzisiaj we Włoszech*, jak oceniają sprawozdawcy pism niedzielnych Londynu, *około 1000 maszyn* — bombowców i myśliwców pospołu. Stan ten może być wzmocniony. *Przepędzenie "Luftwaffe" z nieba nad Włochami będzie zatem pierwszym naszym zadaniem.*

4/ *Przypuszcza się, że Niemcy mieli do* 18-*tu dywizyj we Włoszech.* Stan ten mógł zostać podwyższony. Oblicza się, że *około* 300.000 *żołnierzy włoskich poddało się Niemcom zarówno we Włoszech jak na Bałkanach.* Należy liczyć się z bardzo poważnymi starciami.

5/ Bitwa o Włochy jest dla Niemców zagadnieniem prestiżu. Jak słusznie zaznacza sprawozdawca "*Observera*," Niemcy chcą użyć Włoch dla wykazania swej siły oraz jako przykładu odstraszającego dla wszystkich wyłamujących się lenników. Groźby niemieckiego radia i prasy brzmiały ponuro. Wszystko dowodziło by, że Włochy staną się polem ciężkich zmagań i że zniszczenie tam będzie znaczne.

6/ Wojska włoskie na Bałkanach nie bardzo się dzisiaj liczą. Czy zdołały one nawiązać kontakt z siłami Michajłowicza, nie wiemy. Niemcy poszczuli na Włochów siły osławionego Pawelicza, chorwackiego quislinga, które to siły podobno obsadzają Dalmację.

7/ Nie wiemy, ile samolotów włoskich zdołało przedostać się do sojuszników. Nie wydaje się, ażeby liczba ta była znaczna. Lotniska we Włoszech północnych pochwycone zostały przez Niemców bardzo szybko.

CO DALEJ?

Na razie Rzesza zdołała się jakoś wydobyć z matni włoskiej. Zagrabiła spory szmat kraju, trzyma go w rękach, ma tam lotnictwo, przejęła broń, włoskie maszyny. W tych warunkach może ona myśleć o obronie Włoch, chociaż jest to sprawa bardzo trudna. Obrona kraju tak wyciągniętego jest niewdzięczna. Trzeba by do tego olbrzymiego lotnictwa. Rezerwy lotnicze jakie Rzesza zgromadziła, zarówno w bombowcach, jak myśliwcach, mogą zostać rzucone na Włochy. Jeżeli tak, to operacje włoskie odegrały rolę wywabienia "Luftwaffe," która gromadziła nieznane bliżej zapasy maszyn.

Położenie przypomina nieco Norwegię, jakkolwiek różnice są oczywiste i nie trzeba ich tutaj zbyt szeroko tłumaczyć. Położenie Niemców we Włoszech jest korzystniejsze, aniżeli w Norwegii, albowiem mają połączenie lądowe z Włochami, jednakże są ogromne braki i luki /wrogość ludności, podatność północy przemysłowej Włoch na ataki i t.d./, które mogą się odbić na systemie obronnym Niemców we Włoszech.

Zagadnienie jakie stoi przed wojskami alianckimi jest jasne: wyrzucić Niemców z Włoch, a może nawet próbować przedostać się na Bałkany, chociaż by dla dywersji. Zadanie to będzie zależne od ilości sił, jakie zgromadzono, od tego czy upadek militarny Włoch nie przyszedł nieco za wcześnie. Okazja jaka ciśnie się dzisiaj w ręce sojusznicze jest olbrzymia, ale sposobność w życiu wtedy dopiero jest na coś przydatna, jeżeli można ją w pełni wykorzystać.

Zadanie niemieckie jest również proste: usunąć sojuszników z Włoch, z obrębu "fortecy europejskiej."

Walki będą trudne, ciężkie, Alianci muszą wytężyć wszelkie siły, ażeby nie dać się zepchnąć, ażeby przepędzić wroga. Armia niemiecka okazała się raz jeszcze siłą. Jest to siła szybko działająca. Na jej czele na południu Europy stoją dowódcy bardzo bezwzględni — Rommel, Kesselring. Mowa Hitlera dowodziła, że Niemcy nie dadzą pardonu. Była ona ponura, wściekła, ale taka właśnie mowa najskuteczniej może podziałała na Niemców. Sprawozdawca dyplomatyczny "*Timesa*" napisał nazajutrz po tej mowie, że nie należy "nie doceniać wagi tej mowy, jako ostrogi i bodźca."

CZY BAŁKANY SIĘ RUSZĄ?

Jest rzeczą oczywistą, że upadek Włoch wywołał popłoch na Bałkanach. Rumunia jest w położeniu przymusowym. Dla niej opuszczenie sojusznika niemieckiego jest jeszcze bardziej beznadziejnym zadaniem, niż dla Włochów. Bułgaria przeżywa kryzys po zgonie cara Borysa. Sięgając dalej na północ, poza strefę bałkańską, *Węgry starają się przejść gwałtownie na neutralność*, co było by dla nich bodaj najłatwiejsze /podobnie Bułgaria miałaby jeszcze jakieś widoki w tym względzie, chociaż by dla tego, że nie znajduje się n.p. w wojnie z Rosją/, ale wątpić należy, czy Rzesza wypuści Budapeszt z potrzasku.

Na razie jeszcze Bałkany znajdują się pod terrorem niemieckim. Nawet Grecja ma dzisiaj garnizony niemieckie. *Ale armia niemiecka jest dzisiaj samotna w straży nad Europą.* Pomoc jednostek rumuńskich, bułgarskich, węgierskich nawet przy pracy patrolowania Bałkanów, nie jest ani poważna, ani nadmiernie nie można tym siłom zaufać.

Takie rozciągnięcie się siły zbrojnej Rzeszy jest oczywiście fatalne akurat wtedy, gdy parcie rosyjskie na froncie rośnie, kiedy wojska sowieckie idą dalej, korzystając z pogody i z tego, że Rzesza nie może sobie pozwolić na wydanie bitwy, ani też na zbyt długie trzymanie wysuniętych placówek.

CO BĘDZIE NA WSCHODZIE?

Cofanie się na Wschodzie jest najpoważniejsze na odcinku południowym. Wydaje się, że celem dowództwa sowieckiego jest najszybsze dotarcie do granic Besarabii i przedostanie się na Bałkany. Rosja liczy wtedy na wybuch ruchawki przyjaznej dla siebie.

Armia niemiecka cofając się, stale ma przed sobą jedną tylko możliwość: wydanie jakiejś bitwy w stylu *Jezior Mazurskich.* Tego rodzaju manewr może leżeć w zamiarach "*Wehrmachtu.*" Jeżeli tego planu dowództwo niemieckie nie ma, to w takim razie *pozostaje odwrót stały i ciągły — i proszenie o rozejm.* Nawet najlepiej prowadzony odwrót nie może być planem strategicznym z widokami na przyszłość. Jest to tylko odwlekanie klęsk. Rzesza, cofając się, musi sobie zdawać sprawę z tego, że wybór dla niej jest ograniczony. *Nie może ona liczyć dzisiaj na przejście do przeciwnatarcia*, na odbijanie straconych ziem. Może albo liczyć na wciągnięcie wojsk sowieckich w zasadzkę, pobicie ich na obszarach leżących bliżej Rzeszy, albo proszenie o rozejm.

Skoro tak ograniczony jest wybór niemiecki, wydaje się, że zima tego roku będzie fatalnym dla Niemców przejściem. Czy na wiosnę 1944 ego front niemiecki zasili się nowymi dywizjami, nie wiadomo. Rozproszenie sił, jakie powoduje zawalenie się Włoch i atak na południu Europy — *atak, który jest pełnym drugim frontem* — nie bardzo wróży zasilenie niemieckiego Wschodu.

Londyn, dnia 13-go września 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

5 września: Polskie dywizjony myśliwskie dwukrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Ponadto polskie samoloty myśliwskie osłaniały jednostki morskie oraz przeprowadzały patrolowanie w Zatoce Biskajskiej. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Naczelny wódz gen. broni K. Sosnkowski inspekcjonował oddziały spadochronowe.

6 września: Wojska rosyjskie zajęły Konotop, na froncie środkowym.

—Polskie dywizjony myśliwskie siedmiokrotnie osłaniały wyprawy bombowe oraz akcję ratowniczą i jednostki morskie. W czasie tych działań myśliwcy polscy strącili napewno pięć Focke-Wulf 190 *i jednego Messerschmitta* 109. *Dywizjon Warszawski im. Kościuszki osiągnął podczas tych walk swe dwusetne zwycięstwo.*

Dywizjon myśliwsko-rozpoznawczy dwukrotnie prowadził rozpoznanie żeglugi nieprzyjacielskiej. Ze wszystkich tych działań wszyscy piloci polscy powrócili szczęśliwie.

—Polska załoga bombowa, biorąca udział w działaniach Dowództwa Obrony Wybrzeża zestrzeliła prawdopodobnie jeden Junkers 88. *Załoga polska po wykonaniu zadania powróciła szczęśliwie.*

7 września: Polskie dywizjony myśliwskie trzykrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Poza tym polskie samoloty myśliwskie przeprowadzały loty patrolowe nad Zatoką Biskajską. Wszyscy piloci polscy powrócili.

8 września: Gen. Eisenhower, naczelny dowódca wojsk Sprzymierzonych w basenie Morza Śródziemnego ogłosił, że Włochy poddały się bezwarunkowo. Warunki zawieszenia broni, zatwierdzone przez rządy brytyjski, amerykański i rosyjski, zostały podpisane już w dniu 3 *bm. W dniu* 8 *bm. o godzinie* 17.30 *wydano rozkaz zaprzestania ognia.*

—Wojska rosyjskie zajęły Stalino, stolicę Zagłębia Donieckiego.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe. W czasie walk zestrzelono napewno cztery Me. 109 *i jednego F.W.* 190, *prawdopodobnie jednego Me.* 109 *i jednego F.W.* 190 *oraz uszkodzono jednego Me.* 109.

9 września: We wczesnych godzinach rannych wojska brytyjskie, amerykańskie i kanadyjskie lądowały w wielu miejscach we Włoszech. Doszło do zaciętych walk z Niemcami w okolicach Salerno.

—Persja wypowiedziała wojnę Niemcom.

—Polskie dywizjony myśliwskie brały udział w wielu operacjach bojowych i przeprowadzały szereg patroli ofensywnych nad wybrzeżem okupowanym przez nieprzyjaciela, osłaniały konwoje oraz wykonały akcję wymiatania. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Dywizja Pancerna gościła wycieczkę parlamentarzystów brytyjskich, złożoną z następujących osób: kpt. Allan Graham, kpt. William Grenvil Hall, ppłk. Edward Wickham, kpt. Leonard Gammans i kpt. Ralph Etherton.

10 września: Niemcy zajmują miasta w północnych Włoszech. Niemcy zajęli również Rzym. Doszło do walk między oddziałami włoskimi a niemieckimi.

Sprzymierzeni zajęli Taranto.

Część włoskiej floty wojennej uszła do portów sojuszniczych.

—Wojska sowieckie zajęły Mariupol nad Morzem Azowskim oraz Barwenkowo, Wolnowacha i Czaplino w południowej Rosji.

—Polskie samoloty myśliwskie wykonały patrole ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili.

—Święto myśliwskiego Dywizjonu Lwowskiego.

11 września: Lwowski Dywizjon Myśliwski w bojowych działaniach nad Zatoką Biskajską zestrzelił napewno pięć samolotów niemieckich /4 JU-88 i 1 Me-110/, dwa prawdopodobnie i cztery uszkodził, bez strat własnych.

—Tego samego dnia inne polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawy bombowe. Doszło do walk z nieprzyjacielskim lotnictwem, w czasie których piloci polscy z Dywizjonu Wileńskiego i Poznańskiego zestrzelili cztery Focke Wulf-190 *napewno oraz cztery uszkodzili.*

12 września: Niemcy ogłosili, że niemieccy spadochroniarze uwolnili Mussoliniego z więzienia.

14 września: Święto dywizjonu bombowego Ziemi Pomorskiej.

Wojna na morzu

DOOKOŁA BUTA WŁOSKIEGO

But włoski pęka — równocześnie na podeszwie, na podbiciu i koło obcasa. Tym razem podziurawiły go już nie tylko pociski okrętów lekkich, ale przemówiły też groźnie 16-o calowe działa pancerników "Nelson" i "Rodney." Oczyszczone z min wody Cieśniny Messyńskiej pozwoliły na udział ciężkich jednostek floty, podczas gdy krążownik "Orion," 8 kontrtorpedowców brytyjskich oraz polski "Piorun" przygotowywały grunt pod desant 8-ej armii. Mamy więc znów całkowitą współpracę marynarki, lotnictwa i wojska na wodach ciasnych i wewnętrznych.

Doniosłość strategiczna tej operacji jest olbrzymia. Wieńczy ją zajęcie południowych Włoch. Przy pomocy marynarki może obecnie nastąpić desant na wschodnim wybrzeżu Adriatyku. Bohaterscy powstańcy gen. Michajłowicza zostaną bezpośrednio wspomożeni; zgromadzone na Bliskim Wschodzie siły sojusznicze /a więc i polskie/ uzyskają możność wylądowania na Bałkanach; i cały ciężar walk przeniesie się na oś Peloponez — Saloniki — Budapeszt — Wiedeń.

Kto wie, może stary szlak marszałka Franchet d'Esperay z ubiegłej wojny, odegra znów decydującą rolę. Boć przecież klęska mocarstw centralnych w 1918 r. tu się właśnie zaczęła. Słuszne było więc zdanie Churchilla, że południowy teatr operacyjny jest ważniejszy od zachodniego i że drugi front /na Morzu Śródziemnym/ przygotuje dopiero grunt pod front trzeci w Europie Zachodniej. Ten ostatni zależny jest od możliwości strategicznych i rząd brytyjski nie ma zamiaru szafować krwią swych obywateli dla celów o charakterze czysto politycznym.

W tym wszystkim Marynarka odgrywa arcyważną rolę. Nie trzeba być filozofem by stwierdzić, że bez niej nie tylko nie było by wielkiej ofensywy śródziemnomorskiej, ale wojna byłaby już dawno zakończona . . . zwycięstwem "osi."

Nic więc dziwnego, że w depeszy, wysłanej do Prezydenta Rzeczypospolitej z okazji czterolecia wojny Franklin Roosevelt, podkreślając udział Polskich Sił Zbrojnych w ogólnym wysiłku Sprzymierzonych, na pierwszym miejscu stawia naszą marynarkę, na drugim lotnictwo, na trzecim wojsko. Niektórzy nasi rodacy przyzwyczajeni hołdować zasadzie "liczebności" zwykle myślą i mówią odwrotnie. Marynarze czy lotnicy puszczają to mimo uszu, bo idąc na czele wysiłku zbrojnego, bynajmniej nie pogardzają swymi kolegami z wojska, a przeciwnie starają się ułatwić im późniejsze zadanie.

Na małostki ludzkie — w ogniu prawdziwej walki — nie zwraca się uwagi. A historia pospołu z taktyką i strategią, i tak wyda sąd ostateczny nad ludźmi rozumującymi kategoriami z 1914 roku.

STARE NAZWY WRACAJĄ

Sowieckie okręty liniowe — "Oktiabrskaja Rewolucja," "Marat" i "Pariżskaja Komuna" powróciły do swych starych nazw z lat 1912-16: "Gangut," "Petropawłowsk," "Sewastopol." Czwarty — "Frunze" /"Połtawa"/ już nie istnieje.

Nazwa pierwsza dotyczy bitwy wygranej przez Piotra Wielkiego przeciwko flocie szwedzkiej koło Hangö /brzmienie przekręcone w wymowie rosyjskiej/ w r. 1714. To samo Hangö stało się jedną z przyczyn wojny fińsko-sowieckiej w 1939 r., było okupowane przez Rosjan i w końcu — po dość długiej obronie — zdobyte przez wojska fińsko-niemieckie od lądu. Rosjanie część swych sił wyewakuowali morzem do Kronsztatu.

Dalsze dwie nazwy dotyczą Wojny Krymskiej 1854/55, kiedy to Petropawłowsk na Kamczatce i Sewastopol na Krymie opierały się bohatersko siłom Anglii i Francji . . .

Jeśli już mowa o flocie sowieckiej, to należy stwierdzić, że działa ona w dalszym ciągu na Bałtyku, na Morzu Arktycznym i na Morzu Czarnym. Niemcom nie starczyło sił na zupełne jej zlikwidowanie. I to raz jeszcze dowodzi, że floty bronionej przez lotnictwo własne nie da się zniszczyć inaczej, jak również przy pomocy floty i lotnictwa. Floty Hitlerowi zabrakło . . . Lotnictwa nie wystarczyło do tak ważnego zadania. Choć właśnie mieliśmy i tu do czynienia z morzami wewnętrznymi.

WOJNA PODWODNA

Dietrich i Goebbels pocieszają bombardowanych Niemców fantastycznymi cyframi strat, rzekomo zadanych Sprzymierzonym przez okręty podwodne i samoloty. W sierpniu miano zatopić 108 statków — 592.800 ton, a od lipca ogółem 530 statków — 2,460.000 ton.

Skąd Sprzymierzeni biorą jeszcze tonaż do operacji śródziemnomorskich /a wkrótce może i do innych/ pozostaje tajemnicą Goebbelsa. Już raz pouczyliśmy go, że "kij ma dwa końce" i że tak blagując, ducha nie poprawi: albo rodacy mu nie uwierzą, albo, jeśli uwierzą, to wyrobią sobie destruktywne pojęcie o niezwalczonej potędze Sprzymierzonych, którzy mimo takich strat prowadzić mogą dalej olbrzymie i zwycięskie operacje.

A tymczasem w Ameryce buduje się kontrtorpedowce w ciągu 8½ dnia.

RAIDERY

"Raidery" są to niemieckie łamacze blokady, statki handlowe, kursujące między Europą a Japonią i odwrotnie. W drodze na Wschód czasem stawiają miny, czasem napadają na samotne frachtowce sprzymierzonych. Z powrotem starają się przywieźć brakujące Niemcom surowce strategiczne — gumę, kruszce, oliwę i t.p.

Okręty brytyjskie /a czasem i polskie/ starają się wyłapać tych nieproszonych korsarzy, co często uwieńczone jest dobrym skutkiem. Nie tak dawno przybył do Hiszpanii jedyny pozostały przy życiu członek załogi takiego "raidera." Jego okręt poszedł na dno z cennym ładunkiem 7000 ton gumy oraz kilkuset beczek oliwy.

Charakterystyczne, że ocalały Niemiec twierdził, iż korsarz padł ofiarą okrętu podwodnego. Zachodzi poważna wątpliwość czy nie został zatopiony przez okręt własny! . . . Okręty podwodne Doenitza oddawna już zdradzają pewną nerwowość i zauważywszy rzecz rzadką — pojedynczy statek handlowy, częstują go nieodwołalnie torpedą. W ten sposób zatopiły już kilka neutralnych, a obecnie może przysłużyły się sprawie wolnych narodów, puszczając na dno przeznaczony dla Hitlera cenny ładunek. Los nieraz płata figle.

LOS FLOTY WŁOSKIEJ

W chwili gdy piszemy te słowa, część floty włoskiej jest już pod opieką dział Malty, część zawinęła na Baleary i została internowana /to są ci, którzy się dalej bić nie chcą, natomiast stanowią piękny zasiłek dla gen. Franco/, część dotarła do Gibraltaru, do portów Sardynii i nawet do Egiptu. Ostateczny obraz jest jeszcze niejasny, jednak widać już, że większość okrętów uniknęła zasadzki niemieckiej.

Nadpancernik "Roma" padł ofiarą ataku lotniczego Junkersów. Inne okręty, wbrew komunikatom niemieckim, uniknęły szczęśliwie torped i bomb lotniczych. Niemiecki admirał *Salzwaechter* przyznał, że Niemcy nie posiadają teraz na Morzu Śródziemnym sił zdolnych do walki z flotą Sprzymierzonych. O to właśnie chodziło.

Pamiętać należy, że sojusz niemiecko-włoski stworzony był przez Hitlera głównie w celu uzyskania odpowiedniej siły na morzu. Wkład niemiecki miały stanowić wojsko, lotnictwo i okręty podwodne /sił nawodnych było niewiele/, natomiast wkład włoski głównie *flotę*! Dzięki tej to flocie Hitler spodziewał się opanować basen śródziemnomorski i drogę do Indyj.

Wyszło na odwrót, bo nie wygrywa się na morzu cudzymi rękoma. I znów dzięki waleczności i sprawności brytyjskich eskadr floty śródziemnomorskiej, które długi czas po upadku Francji nie tylko nie posiadały przewagi liczebnej, ale nawet pozbawione były osłony lotniczej, W. Brytania nie dała sobie wydrzeć panowania na morzu. Dziś zbiera owoce: flota włoska *dobrowolnie* zawija do portów brytyjskich, Afryka i Sycylia są opanowane, Malta uratowana a wojska sprzymierzone pod Neapolem.

NIEMCY W GDYNI

Ze Szwecji nadchodzą wiadomości, że Niemcy w Gdyni i Gdańsku intensywnie szkolą zespoły nowych okrętów podwodnych. Podobno w użyciu jest nowa torpeda elektryczna, nie pozostawiająca śladu, znacznie szybsza od obecnej, a możliwe że kierowana tele-elektrycznie. Mówi się też o wynalazku neutralizującym podsłuch podwodny przeciwnika i radio-wykrywanie. Nie ma jednak takiej broni, na którą nie wynaleziono by tarczy.

Dla nas wiadomość o rozbudowaniu Gdyni w potężny arsenał i bazę floty jest bardzo interesująca. Przynajmniej oszczędzi to nam kłopotów po wojnie i stworzy trwałą podstawę dla przyszłej polskiej Siły Zbrojnej na morzu.

JULIAN GINSBERT

O tej godzinie w Polsce

Plan niemiecki wobec Polski*

"... Nie dopuśćcie nigdy do powstania drugiej potęgi na kontynencie Europy. W każdej próbie stworzenia nad granicami Rzeszy drugiej potęgi militarnej, a choćby tylko w zawiązywaniu się państwa zdolnego kiedyś do wytworzenia takiej potęgi — upatrujcie zawsze zamach na Niemcy.

Jest waszym nie tylko prawem, ale i obowiązkiem wszystkimi środkami, aż do użycia siły zbrojnej, powstaniu takiego państwa przeszkadzać, a gdyby jednak powstało — zniszczyć je..."

Adolf Hitler
"Mein Kampf," str. 754.

Niejednokrotnie zadawano pytanie, dlaczego Niemcy z pomiędzy wszystkich krajów okupowanych szczególnie okrutnie obchodzą się z Polakami. Okazało się bowiem rzeczą już jasną dla wszystkich, nawet najmniej zorientowanych, że Niemcy niejednakowo traktują podbite przez siebie kraje Europy. Pewne kraje traktują względnie łagodnie, inne z najbardziej wyrafinowanym okrucieństwem. Do tych ostatnich należy przede wszystkim Polska.

Wszystko, co Niemcy robią w Europie, nie jest improwizacją, lecz wynika z zasadniczego planu. Plan ten nie jest ani powierzchowny, ani nie powstał dopiero w wieku XX. Dochodząc do władzy w r. 1933, hitlerowcy ze zbrodniczą i cyniczną odwagą dawny plan niemiecki tylko podjęli, skondensowali i osadzili na zespole najnowszych wynalazków technicznych.

Plan ten, który jest nie tylko substancją myślową, ale trwa stale we *wszystkich* władzach duchowych każdego Niemca, dąży w ostatecznych swoich konsekwencjach do zagarnięcia panowania nad całym światem. Pewna grupa współczesnych socjologów jest zdania. że charakter narodu wytwarza się przez stale powtarzające się w ciągu wieków te same sytuacje. Niemcy, którzy na początku swej wczesnej historii mieli na kontynencie osiedlenie zrazu jedynie nad brzegami Morza Północnego i wzdłuż prawego brzegu Renu, z biegiem czasu swoje pionowe wąskie terytorium stopniowo lecz wydatnie pogrubili, szczególnie o zdobycze na słowiańskim wschodzie. Napad, agresja, inwazja, złamany traktat, sfałszowany dokument stale i nieodmiennie w każdym pokoleniu niemieckim powiększały niemiecki stan posiadania, aż się *z tej niezmienności zrodziło duchowe prawo niemieckie i niemiecki sposób patrzenia na ziemską rzeczywistość*. Miecz, krew, niesprawiedliwość i wiarołomstwo powiększały państwo niemieckie, aż przyszła myśl, że tymi samymi środkami można Niemcy powiększyć o cały pozostały świat!

Geopolityk i doradca Hitlera, gen. Haushofer postawił tezę, która, rzecz prosta, nie przez niego została odkryta, ale przez niego na nowo i "w sposób naukowy" sformułowana. Na to, aby zdobyć świat, Niemcy muszą wpierw powiększyć obszar swojej bazy wyjściowej, czyli obszar samych Niemiec. Praktycznie rzecz biorąc w dwojaki sposób:

1/ przez etnograficzne zalanie dużych obszarów, któreby powiększyły stałość samej podstawy niemieckiego bloku etnicznego.

2/ przez uzależnienie od siebie polityczne, gospodarcze i militarne całego kontynentu z Wyspami Brytyjskimi włącznie.

Powiększenie etniczne miało się dokonać na wschód, który to kierunek był dogodny z wielu powodów, m.in. i dlatego, że zapewniał przestrzenne bezpieczeństwa spokojnego wytwarzania broni zdala od brzegów otwartych mórz, głównego frontu w przyszłej walce o władanie nad światem. Bowiem na obszarach "uzależnionych" można, a nawet dogodniej jest prowadzić działania frontowe, gdyż nie niszczy się swego kraju: ale nie można naprawdę tworzyć trzonu przemysłu wojennego.

TRZECIA PRÓBA ZNISZCZENIA POLSKI

I tak Niemcy po raz nie wiadomo już który w swojej historii stanęli znowu wobec zagadnienia polskiego. Tym razem w sytuacji o tyle przykrzejszej, że *przed* 20 *laty po raz pierwszy od wieków francuska miejscowość Wersal sprawiła, iż wojna nie przyniosła Niemcom posunięcia się na Wschód, ale przeciwnie częściowo odjęła im nawet poprzednie zdobycze*, a odrodzone państwo polskie szło wyraźnie i szybkimi krokami do powiększenia swojej siły ludnościowej. Zjawiskiem, które najbardziej Niemców w nowej Polsce niepokoiło było niesłychanie szybkie zrastanie się w spoistą jedność różnych części Polski, które wyszły ze stuletniej niewoli, z pod panowania trzech różnych organizmów politycznych.

Zamiar i próba *doszczętnego* zniszczenia Polaków nie stanęły przed Niemcami obecnie po raz pierwszy. Z wielu prób poprzednich mają poza sobą liczne doświadczenia. Nie czym innym, jak taką właśnie próbą, był plan Fryderyka II, opracowany i wykonany wspólnie z Katarzyną rosyjską, rozbiorów państwa polskiego, rozdrobnienia go i zmielenia na drobne nieorganiczne politycznie cząstki.

Gdy to *polityczne* usunięcie Polski nie dało rezultatów i nie uśmierciło wśród Polaków świadomości narodowej /która w międzyczasie coraz bardziej zaczęła przerastać znaczenie politycznej formy państwowej/, nie czym innym jak ponowną próbą niemiecką był system *integralnej germanizacji* przez prześladowania religijne, językowe, przez szkołę i wykup ziemi, stosowany na oczach humanitarnego XIX stulecia przez Bismarcka.

Nie można powiedzieć, żeby te metody były łagodne, mało pomysłowe, lub niedołężnie stosowane. Przeciwnie! A jednak Henryk Himmler, który jest nie tylko naczelnym oprawcą niemieckim, ale posiada wiele innych zadań w Niemczech dzisiejszych m.in. jest również /o czym niewielu ludzi pamięta/ "komisarzem dla umacniania niemczyzny na wschodzie" — napisał w sierpniu 1942 r. w piśmie "*Deutsche Arbeit*" artykuł pod tytułem "Czy germanizować?" wschód, czyli Polaków. W artykule tym daje na zaopatrzony znakiem zapytania tytuł odpowiedź przeczącą: Niemcy współczesne porzucają system germanizowania przyłączonych do Rzeszy terenów. System ten, stosowany przez Bismarcka i Wilhelma, nie dał dobrych wyników. Inne pismo Himmlera, "*Das schwartze Korps*" w numerze z 20-go sierpnia 1942, komentując to stwierdzenie naczelnego kata, pisze: "Ludzie, rodziny i rodzeństwa, którzy od setki i więcej lat pozostawali pod wpływami germanizacyjnymi, korzystali z niemieckiego wykształcenia i ze wszystkich korzyści ich rzekomej niemieckości, przyznali się przez jedną noc znowu do polskości..."

Wniosek z tego prosty, że w czasie trzeciej próby zniszczenia Polaków — musiały być zastosowane *inne środki*, niż środki Bismarcka.

POWODY UDERZENIA NA POLSKĘ

Pomijając ogólne założenia niemieckiej polityki wojennej, dwa były powody główne uderzenia niemieckiego na Polskę:

Pierwszym powodem był fakt zdania przez Polskę w ciągu dwudziestu lat odnowionego bytu państwowego egzaminu dojrzałości państwowej i organizacyjnej. Majaczenia o "*Polnische Wirtschaft*" i "*Saisonstaat*" pozostały tylko niespełnionymi przewidywaniami. A tymczasem w Niemczech zaznaczały się coraz wyraźniej groźne procesy: spadku ludności, żywiołowej ucieczki ludności ze wsi do miast, gwałtownego wyludniania się całych wschodnich prowincji Rzeszy, Śląska, wschodniej Brandenburgii, Pomorza Szczecińskiego i Prus Wschodnich, które pod każdym względem były deficytowe, wreszcie konieczność corocznego sprowadzania setek tysięcy sezonowych robotników z przeludnionej Polski, aby rolnictwo niemieckie w ogóle mogło funkcjonować. W tym czasie w Polsce — rolnictwo się podnosiło, przemysł rozrastał, liczba ludności powiększała się, dobrobyt się wzmagał, siła militarna zaczęła się nowocześnie organizować. Jeszcze dziesięć lat...

Drugim powodem była świadomość konieczności opanowania Rosji. W politycznym planie niemieckim kolejność była taka: zdobycie Polski, podbicie Rosji, podbicie Europy z Wyspami Brytyjskimi włącznie. Niemcy zdawali sobie sprawę z tego, że bez współdziałania Polski, lub zniszczenia państwa polskiego niemożliwe jest dla nich zdobycie Rosji.

POWODY ZASTOSOWANIA MORDERSTWA JAKO ŚRODKA OKUPACYJNEGO

To były powody konieczności *uderzenia na Polskę*. Osobno należy wyliczyć powody *zastosowania w Polsce najbardziej okrutnych metod okupacyjnych*. Jest tych powodów kilka:

1/ Polska leży na linii i kierunku etnograficznej ekspansji niemieckiej. Polska jest terenem, który Niemcy postanowili uczynić etnograficznie niemieckim.

2/ Doświadczenia historii pouczyły, że metody dotąd stosowane wobec Polaków raz przez unicestwienie polityczne, drugi raz przez germanizację okazały się zawodne.

3/ Osobnym powodem jest motyw, który płynie z tego, co można by nazwać "moralnością mordercy." Niemcy naprzód próbowały przeprowadzenia swoich planów drogą "pokojowego podboju." Przez pewien czas wszystko szło składnie, aż w pewnej chwili Polska "podburzona przez Wielką Brytanię zmusiła Niemcy do zabezpieczających, obronnych działań wojennych." W osobliwym pojęciu moralnym mordercy należy się jej za to kara.

Zresztą w miarę upływania wojny motyw "kary" na Polaków zwiększa się i z innych przyczyn. Przez pięć lat poprzedzających wojnę obecną Niemcy najrozmaitszymi sposobami i ustawicznie namawiali Polaków do wspólnej wyprawy na Rosję. Polska zawsze odmawiała. Gdy Rzesza nie mogła już dłużej czekać, powaliła Polskę i *nie z nią*, ale *przez nią* pomaszerowała na Rosję. Lecz wyprawa nie bardzo się udaje, a dużo kosztuje, tym większa wściekłość i tym większe "kary" na Polaków. Wszystkie raporty z Polski i z kontynentu, jakie teraz nadchodzą, stwierdzają zgodnie, że w propagandzie wewnętrznej, szeptanej, winę za przedłużającą się kampanię rosyjską zwalają Niemcy na "upór i głupotę Polski" oraz na "intrygi Żydów."

Znam na ten temat wynurzenia pewnego niemieckiego dyplomaty, który zwierzył się ze swymi koncepcjami pewnemu urzędnikowi tureckiemu w r. 1942:

—"Wojna miałaby zupełnie inny przebieg — mówił — gdyby nie chroniczna głupota Polaków. Roją teraz jakieś marzenia w oparciu o Anglię, która im nie może pomóc. Narzekają, że się ich kompletnie niszczy. Lecz cóż można zrobić innego, skoro nie chcą współdziałać.

Faktem jest, że gdyby nie ten głupi upór, otwierały się dwie różne możliwości poprowadzenia wojny, obie lepsze od obecnej. Gdyby Polska zgodziła się pójść z Niemcami, sprawa Rosji byłaby naprawdę kwestią sześciu miesięcy, a zachód palcem by nie ruszył w jej obronie. Gdyby Polska była zachowała bodaj życzliwą neutralność, uderzenie pierwsze mogło pójść na zachód. W jesieni 1939 roku Francja, w lipcu 1940 roku Wyspy Brytyjskie. W takim stanie rzeczy Rosja, Bałkany i Afryka byłyby sprawą miesięcy.

Bieg, jaki wojna ostatecznie przybrała, jest mniej dogodny od powyższych dwóch kierunków. Lecz to nie zmieni w zupełności jej wyniku. Cele pozostają ciągle te same, jakkolwiek, w następstwie owego uporu, może zajść potrzeba budowania przez długie lata tego, co można było mieć szybko i bez kłopotu. Lecz taka jest już nieodparta sprawiedliwość dziejowa, że nic nie dzieje się bez sprawiedliwych następstw: aby teraz mimo wszystko Niemcy mogły osiągnąć założone cele, muszą być zniszczeni właśnie Polacy. Muszą przestać istnieć."

Motyw "karania opornych i niedojrzałych politycznie" gra w dzisiejszym myśleniu i motywach niemieckich bardzo dużą rolę. Ten motyw gra n.p. bardzo dużą rolę w odnoszeniu się Niemców do Jugosłowian, którzy "wstąpiwszy już swego czasu na drogę rozsądku, po trzech dniach zawrócili z niej i zmusili Rzeszę do podniesienia karzącej broni." Dodajmy — i od tego czasu zmuszając tę Rzeszę do stałego używania tej broni w nieustających walkach z dzielnymi oddziałami gen. Michajłowića.

Istnieje jeszcze wiele powodów dalszych, których nie sposób tu wyliczać. Ważnym n.p. powodem jest zagadnienie tkwiące w kulturze polskiej. Porzucając dotychczasowy wymiar cywilizacyjny, a decydując się na przyjęcie nowej okrutnej cywilizacji, Niemcy uważają za groźne dla siebie każde szersze zetknięcie się mas niemieckich z żywym przykładem istnienia szczęśliwego narodu w ramach cywilizacji dotychczasowej. Strzegąc dobrze, obstrzałem obelg i poniżających określeń "zgniłego zachodu," na wschodzie Niemcy z niechęcią widzieli kilka państw cywilizacji chrześcijańsko-zachodniej, z których Polska jest państwem największym.

Pomimo wielkich wysiłków propagandowych, wszelkie próby przeszczepienia na grunt polski metod nowej "moralności" w postaci ustroju totalitarno-nazistowskiego zawiodły ostatecznie. Żadne z ugrupowań politycznych w Polsce nie poszło na rzecz modnych recept ze wschodu czy zachodu poza te granice, które nakreśla rzeczom politycznym moralność chrześcijańska. Złoczyńcę drażni istnienie ludzi porządnych. "Humanitaryzm to słabość" — głosi współczesny Niemiec. W imię usuwania z terenu Europy słabości Niemcy zamordowali do dn. 1 stycznia 1943 r. — 3.500 księży, ponad 5.000 domęczają w obozach koncentracyjnych, profesorów uniwersytetów posłali do Dachau i Oranienburga, a w gmachu polskiego Ministerstwa Oświaty w Warszawie, przy alei Szucha, umieścili Główną Komendę Gestapo.

* * *

Takie są przyczyny, dla których Niemcy odnoszą się do Polaków inaczej, niż do wielu innych narodów podbitych. Hitler szedł z dwoma różnymi planami na wojnę: z planem zdwojenia obszaru samych Niemiec i z planem podbicia kontynentu. Polska umieszczona została, niestety, na pierwszym miejscu tego pierwszego planu.

W istnieniu tej dwoistości planów okupacyjnych tkwi przyczyna częstych pomyłek ludzi zachodu w wyobrażeniach o sytuacji w Polsce. Te wyobrażenia kształtują się na formach okupacyjnych zachodniej Europy, która jest bliżej i z której przychodzi więcej wiadomości. Ten obraz stosunków mniej okrutnych przenoszony jest często automatycznie na stosunki w Polsce i Jugosławii.

Tymczasem tam jest inaczej, dużo gorzej. Tam Niemcy sięgają do górnej granicy swego nowego świata pojęć.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

*Por. pierwszy artykuł cyklu: "Ludzie z innego świata pojęć," druk. w nr. 36 "Polski Walczącej" z b.r.

Z TARCZĄ LUB NA NIEJ

Lotnictwu —
Skrzydlatemu Rycerstwu Polski

Na dzień 19 września 1943,
drugą rocznicę śmierci nad ziemią angielską, nie polską,
mego 22-letniego syna, żołnierza Polski,
ś.p. Jerzego Stefana Krzysztofa Zaleskiego,
podchorążego rezerwy Lotnictwa — pilota,
Harcerza Orlego 2-ej drużyny im. Tadeusza
Rejtana Związku Harcerstwa Polskiego.

/Lotnik śpiewa/

Niech żyje Młodość!
Gra nam w Krwi poszumie
Pobudka jasna, jako Lot o Świcie.
W Słońce patrzymy i w Zwycięstwa dumie
do Ciebie, Polsko, lecimy...
Słyszycie?...

To samoloty huczą w Nocnej Ciszy!...
Słyszy nas Wróg!...
I Kraj nas wnet usłyszy...

To my! To my!
Niczym nam są przeszkody!
Mocą Silników i Skrzydeł je skruszymy:
Zginęła Przestrzeń i Czas!
Ten jest Młody,
Kto Sercem wyrósł i Wolą w olbrzymy:
Kto Życie Ojczyźnie dał, a Duszę Bogu...
Niesiemy Polsce Życie!...
A Śmierć — wrogom.
Niebem lecimy!
Nie zwolnimy Śmigła!

Nie obniżymy Lotu!...
Zawsze w Górę!
Zjadaczy Chleba porwiemy na Skrzydła
i podniesiemy nad Ziemię wichurę
przez Walkę, Rany i Śmierci zaszczyty,
aż Słońca Serc ich rozbudzą się Świty.

Oni na Ziemi, gdzie Ojce orali,
Lemiesze Pługów zagłębią znów dalej,
By te Granice przez Wrogów zgwałcone
Pod Matki Boskiej powrócić Koronę,
Gdy Męką Kraju rozbudzona Trwoga
Ujrzy, co znaczy Sprawiedliwość Boga!
A krwawe Katy Świata się zatrwożą
Sądem, idącym — jako Prawo Boże!

W Brzask Nowych Dni idziemy już Zespołem,
Sprawiedliwości Dziejowej Strażnicy.
Mieczem Chrobrego — Zawiszy Honorem
Krzyż wypiszemy na Polskiej Granicy.
A gdy bomb z Nieba Pioruny zawarczą,
— zmiażdżymy Wroga!

I wrócimy z tarczą...
Tam Westerplatte, Hel, Puck i Warszawa,
Tam Kutno — Łowicz, Kock i Lwów i Gdynia
Wilno i Poznań — Kraju Walka Krwawa

— hymnem Wolności witać będzie Syna...

/Mówi matka poległego żołnierza:/

Pomnij żołnierzu: — Gdy bęben zawarczy,
Apel bić będzie po walce ze wrogiem,
— Niech żaden z Synów nie czeka za Progiem:
Poległy wrócić ma Prawo — na Tarczy.

ZOFIA ZALESKA

Australia w wojnie

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Sydney, w czerwcu 1943

Gdy Niemcy napadły na Polskę i Wielka Brytania wraz z Dominiami wypowiedziała im wojnę, Australia była do niej najzupełniej nieprzygotowana. Wprowadzono wprawdzie powszechną służbę wojskową */Militia/*, której zasięg ograniczony był ustawowo jedynie do terytorium Australii i wysp mandatowych, oraz otwarto zaciąg ochotniczy do wojsk imperialnych */A.I.F./*, lotnictwa i marynarki, gdzie ograniczenia zasięgu nie obowiązywały, wszystko to jednak obracało się w nader skromnych granicach liczbowych.

Mimo to jednak i mimo wielkich odległości od frontów wojennych, ochotnicy australijscy spisali się znakomicie. I tak 6-a, 7-a i 9-a Dywizje *A.I.F.* walczyły dzielnie we wszystkich ofensywach libijskich — począwszy od pierwszej ofensywy gen. Wavella, a skończywszy na przełamaniu frontu pod El Alamein przez gen. Montgomery, brały udział w walkach w Syrii, Grecji i na Krecie. Lotnicy australijscy uczestniczyli w walkach nad W. Brytanią, okupowaną Europą, Niemcami, Włochami, walczyli nad Maltą, Egiptem, Libią, byli stacjonowani w Rosji i Islandii. Marynarka australijska — aczkolwiek nieliczna — wsławiła się służbą na Morzu Śródziemnym i Czerwonym, gdzie krążownik H.M.A.S. "Sydney" zatopił krążownik włoski "Bartolomeo Colleoni."

Wszystko to jednakże nie wpłynęło na życie tego pięknego i szczęśliwego kraju. Karnawał trwał tu bez przerwy, piękne miasta australijskie iskrzyły się miriadami świateł, odbijających się w morzu. Sklepy i składy uginały się pod nawałem nagromadzonych towarów, a urządzane dwa razy w tygodniu wyścigi pochłaniały uwagę ludności w znacznie większym stopniu, niż jakiekolwiek, choćby najważniejsze — wydarzenia polityczne.

Produkcja wojenna, zapoczątkowana w 1939 roku, rozwijała się bardzo planowo, ale jeszcze bardziej powoli. Strajki i kryzysy gabinetowe nie sprzyjały natężeniu wszystkich sił w skoncentrowanym wysiłku wojennym. Można zaryzykować twierdzenie, iż w tym okresie wojna była błogosławieństwem dla Australii. Ludzie więcej zarabiali, nie obawiali się bezrobocia i używali życia w całej pełni.

Idylliczny ten obraz rozwiał się owego pamiętnego dnia 7 grudnia 1941 roku, gdy samoloty japońskie wykonały zdradziecki atak na Pearl Harbour i Manillę, zaś armia Mikada kroczyła na Malaje i posuwać się poczęła w kierunku Singapore, gdzie stacjonowana była 8-a Dywizja *A.I.F.* Jeszcze tego pamiętnego dnia spokój Australii był niewzruszony. Ludzie mało interesowali się dodatkami nadzwyczajnymi, byli bowiem nadal niewzruszenie przeświadczeni o niezwyciężalności Singapore i opartej w nim floty brytyjskiej. Wkrótce jednak — w miarę postępów wroga — uświadomienie opinii stawało się coraz powszechniejsze i od tego dnia datuje się nowa era historii wojennej Australii, jak gdyby powtórzenie — w odpowiednich proporcjach — Dunkierki i jej oddźwięku w "starym kraju."



Masowa produkcja australijskich "ack-ack guns" — dział przeciwlotniczych

W momencie, gdy ofensywa japońska zagrażać zaczęła północnym wybrzeżom Australii, sytuacja tego lądu wydawała się wprost beznadziejna. W kraju było nie wiele "milicji," źle wyćwiczonej i jeszcze gorzej wyposażonej, nie było samolotów /prócz treningowych "Wirraway'ów"/, słowem — nie było nic. Wprawdzie konwoje amerykańskie zaczęły zwolna nadchodzić, ale powodów do obaw było wiele. Australijczycy zdradzać poczęli pewne objawy histerii. Niektóre wypowiedzi przywódców, niektóre ataki prasy na "*beat-Hitler-first policy*" zdradzały więcej, niż brak zrównoważenia. Wreszcie — najwybitniejszy członek obecnego rządu labourzystów, Dr. Evatt, wyjechał do Ameryki i Anglii w "ekspedycji ratunkowej."

W kraju rząd Curtina wziął się w garść i rozpoczął kompletną mobilizację wojskową i gospodarczą kraju. Powołano pod broń wszystkie roczniki obejmując tym również cudzoziemców, stworzono *Allied Works Council* do przeprowadzania strategicznych robót publicznych, a nawet zlikwidowano "*mid-week sports*" . . . łącznie z wyścigami.

Miasta nadbrzeżne zaciemniono /t.zw. "*brownout*"/, rozpoczęto budowę schronów i rowów przeciwlotniczych. Zorganizowano ochotniczą służbę przeciwlotniczą, straże przeciwpożarowe, ambulanse i odpowiednik angielskiego *Home Guard*, zwane tutaj *Voluntary Defence Corps.*

Tymczasem rząd, nie oglądając się na krytyki z prawa i z lewa, przeprowadzał swoje plany konsekwentnie i systematycznie. Zdeklarowany marksista /jeden z nielicznych w rządzie *Labour Party*/, Minister Wojennej Organizacji Przemysłu Dedman, przeprowadził drakońską — jak na tutejsze stosunki — reorganizację przemysłu, handlu i komunikacji, wkraczając w najdrobniejsze odcinki życia. Powołano *Manpower Directorate*, regulujący ruch rąk do pracy, oraz poważnie skrócono listę zawodów, chronionych przed powołaniem do wojska, obniżono wymogi lekarskie przy poborze, ostatnio wreszcie — mimo zażartej opozycji konserwatystów labourowskich — przeprowadzono postanowienie, zezwalające rządowi na wysyłanie "*militia*" poza granice Australii, jednakże stale na terenie Okręgu Południowo-Wschodniego Pacyfiku /komendy gen. MacArthura/. Ograniczono "aż" o 25% produkcję piwa i wzmocniono kontrolę nad wyszynkiem, co w tutejszych warunkach wymagało wielkiego bohaterstwa ze strony rządu i poszczególnych jego członków. Wreszcie ograniczono przywóz do Australii, transport międzystanowy oraz produkcję krajową całego szeregu artykułów codziennego użytku, wprowadzono kartki na odzież i bieliznę, herbatę, cukier i ostatnio masło. Wprawdzie w każdym wypadku racje są niezmiernie hojne i nieosiągalne w innych krajach, to jednak sam fakt ich wprowadzenia i zaakceptowania ze strony opinii publicznej świadczy o poważnej zmianie nastrojów.

W związku z wycofaniem ze Środkowego Wschodu dywizji *A.I.F.*, z przybyciem do Australii wojsk amerykańskich oraz z operacjami wojennymi na "bliskiej północy" /a także z zapotrzebowaniem Anglii/, produkcja środków żywności musiała być nie tylko utrzymana, ale nawet podniesiona — mimo stałego zmniejszania się ilości rąk roboczych.

A teraz dla ilustracji kilka cyfr: w dniu 3 stycznia 1939 pracowały w Australii 4 fabryki uzbrojenia, w grudniu 1941 było ich już 8, zaś obecnie pracuje lub jest w budowie 49 fabryk rządowych oraz 170 aneksów /"annex" jest to oddział przy fabryce produkującej cokolwiek, wytwarzający sprzęt lub amunicję/. Wszystkie warsztaty, zakłady ślusarskie i stacje reparacyjne produkują części składowe. W początku roku bieżącego program zbrojeniowy Australii osiągnął swe optimum, wskutek czego niektóre jego działy wstrzymano lub przestawiono.

W dziedzinie produkcji wojennej przemysł australijski dokazał bardzo wiele. Podjął i w wielu wypadkach udoskonalił produkcję najbardziej skomplikowanych rodzajów broni, silników /samolotowych i samochodowych/ i narzędzi optycznych i technicznych. Stworzył nowy typ ręcznego karabinu maszynowego, t.zw. "*Owen-gun,*" którego twórcą jest mechanik australijski Owen.

Allied Works Council stworzyła *Civil Constructional Corps*, do których powołano mężczyzn, niezdolnych do czynnej służby wojskowej. Oddziały te wykonały wielką ilość prac konstrukcyjnych, budując lotniska, drogi, szpitale, obozy wojskowe i t.p. Wiele z tych konstrukcji, jak nowoczesne szpitale i strategiczne drogi łączące daleką północ z południem i wschód z zachodem, będą niewątpliwie doniosłym instrumentem w rozwoju zacofanych okolic tego wielkiego kraju-kontynentu.

Korzystając na równi z innymi krajami sprzymierzonymi z dobrodziejstw *Lend-Lease Bill'u*, Australia należy do tych nielicznych, których "odwrotny *Lend-Lease*" wyrównuje świadczenia amerykańskie. Dostarczając żywności dla wojsk amerykańskich w Okręgach Południowego i Południowo-Wschodniego Pacyfiku, dostarczając poważnych ilości odzieży dla wojsk Stanów Zjednoczonych i budując dla tychże wojsk szereg instalacji — Australia prawie wyrównała swe pozycje w księgowości *Lend-Lease.*

Największym i najtrudniejszym odcinkiem prac rządu australijskiego było planowe i możliwie jak najkompletniejsze wykorzystanie ograniczonego materiału ludzkiego, jakim Australia — z własnej winy — rozporządza. Liczba ludności Australii obu płci w wieku od 14 do 65 lat wynosi 5.000.000. Według cyfr podanych przez Premiera Curtina w czasie debaty parlamentarnej dn. 22 czerwca 1943 roku, 820,500 mężczyzn jest pod bronią, przy czym 530,000 pochodzi z zaciągu ochotniczego i może być wysłane wszędzie. W 1939 roku siły zbrojne i produkcja wojenna absorbowały 1% ludności, podczas gdy obecnie cyfra ta wynosi 41%. Dalsze 31% zatrudnionych jest w t.zw. "*Essential services.*" Liczba kobiet w wojskowej służbie pomocniczej i przemyśle wojennym wzrosła ponad 100 razy i wynosi ok. 12% ludności kobiecej kraju. Wzrost marynarki od października 1941 /objęcie władzy przez rząd Curtina/ wynosi 50%, wojska lądowego — 70%, lotnictwa — 120%.

Tak przedstawiają się — w mocno niekompletnym zarysie — najbardziej charakterystyczne fragmenty wysiłku wojennego Australii, wysiłku, zasługującego na szczególne uznanie, jeśli wziąć pod uwagę odległość Australii /w tysiącach mil morskich/ od wszelkich dostępnych źródeł surowcowych oraz nieprawdopodobny wprost stosunek ludności do obszaru /Australia jest obszarem większa od U.S.A., ludność jej zaś wynosi ok. 7.000.000/.

Ta największa bolączka Australii jest ostatnio coraz obszerniej omawiana. Australia, która w ostatnich latach była niemal hermetycznie zamknięta dla imigracji /nawet dla przybyszów z wysp brytyjskich/, zaczyna sobie teraz zdawać sprawę z powagi położenia. Sprawa poruszana jest przez coraz poważniejszych i bardziej eksponowanych polityków, tak że należy sądzić, iż po wojnie sytuacja zmieni się radykalnie. Obecnie już dyskutuje się nie nad tym, czy imigrantów wpuścić, ale nad tym jakich i ilu.

Ale o tym innym razem.

RYSZARD KRYGIER

Nowopowstałe osiedle przy fabryce przemysłu wojennego



Transport wojskowy na wielbłądach



Ze Lwowa do Francji

III.*

WYCIĄGNIĘTA RĘKA ZAWISŁA W PRÓŻNI

Zupełny już zmierzch w tym dniu 17-ym września, gdy, śladem coraz liczniejszych kolumn docieramy do Kut. Gdzieś na rozdrożu do Kosowa jest karczma, przed którą duży ruch. Zatrzymujemy się i my. Generał wysyła mnie, jak zwykle, dla zbadania sytuacji.

Z obszernej sieni na lewo i prawo — dwie wielkie izby, a w każdej — pełno wojskowych. W głębi na lewo — tłum przy bufecie. Spotykam mnóstwo znajomych i dowiaduję się, że dogoniliśmy nareszcie Naczelne Dowództwo. Prowadzą mnie w głąb, ku drzwiom na prawo. W pokoju, do którego wchodzę, zastaję gen. Malinowskiego z dwu jeszcze generałami i kilku pułkownikami z ówczesnego Oddziału Operacyjnego. Kiedyś będę miał może sposobność uzupełnienia tych wspomnień nazwiskami, które zanotowałem. Melduję o przyjeździe gen. Sikorskiego, co wywołuje wielkie poruszenie. Płk. dypl. J. wybiega przed karczmę, wita się z Generałem i przez dłuższą chwilę przechadza się z nim wzdłuż budynku w ożywionej rozmowie. Potem salutuje, wskakuje do samochodu i odjeżdża. Generał mówi nam, że ów oficer pojechał do marsz. Śmigłego-Rydza zawiadomić o przybyciu Generała. Powraca mniej więcej po trzech kwadransach i oto, jaką, według mojej natychmiast zrobionej notatki, przywozi odpowiedź. Marszałek rad jest bardzo ze zgłoszenia się gen. Sikorskiego, jednak w obecnych okolicznościach żadnej funkcji wyznaczyć mu nie może. Nie może nawet z nim pomówić, ponieważ trwa posiedzenie Rady Ministrów. Natomiast chętnie z nim pomówi po przekroczeniu granicy, w Rumunii.

Dowiadujemy się stąd, że przekroczenie granicy jest postanowione. Sądzimy, że dzieje się to w ścisłym porozumieniu z Rumunami, skoro Wódz Naczelny przewiduje dla nas swobodę ruchów, a dla siebie — swobodę rozmów i może wydawania rozkazów. Utwierdza nas w tym przekonaniu moja rozmowa z gen. Malinowskim, podczas oczekiwania na płk. J. przeprowadzona, w której potwierdza mi wiadomość o moim wyznaczeniu do Brukseli.

Jednocześnie przychodzi wieść o zajęciu przez bolszewików Śniatynia, co przyśpiesza wymarsz całej kolumny Naczelnego Dowództwa ku granicy. My ruszamy za nią o godz. 22 min. 30.

Nieskończony sznur samochodów osobowych i ciężarowych, ciągnących po ciemku, powoduje co kilka minut zatory. Regulujemy je, a raczej torujemy sobie drogę z największą trudnością, przy czym, jak i poprzednio, nazwisko Generała sprawia, iż dają nam przejazd. Wiele osób płacze; na zawsze pozostaną mi w pamięci łzy starszego wiekiem oficera, który łka spazmatycznym szlochem.

Oczywiście, nikt z nas nawet nie drzemie; my ze Stefczykiem wychodzimy po parę kilometrów naprzód, aby zbadać przyczynę zatrzymania ruchu. Ledwo chodzę o lasce, tak mam odparzone nogi. Generał też chwilami wychodzi z auta, i widać, jak jest zdenerwowany. W pewnej chwili, po północy, jest prawie zdecydowany wyjechać z kolumny lub też wydostać się z niej pieszo i wracać do kraju lub też, gdyby to było niemożliwe, iść ku granicy węgierskiej. Czynimy, co możemy, aby go odwieść od tego zamiaru, przypominając obowiązki, jakie będzie miał teraz do spełnienia za granicą. Generał po namyśle zamyka walizkę, z której już wydobywał ubranie cywilne; nadjeżdżają dwaj oficerowie, których spotkaliśmy między Strusowem a Buczaczem w postrzelanym aucie. Z ich pomocą jakoś regulujemy "korki" i zaczynamy posuwać się nieco szybciej. Granicę /most/ między Kutami a Wyżnicą /Vijnita/ przekraczamy bez trudności i nie zapytywani o paszporty 18 września o godz. 5 min. 30.

Po rumuńskiej stronie mostu stoi rumuński pułkownik, jak sądziliśmy — straży granicznej, jak się potem okazało — fligel-adiutant królewski. Generał podchodzi do niego, przedstawia się i uzyskuje szybsze przepuszczanie samochodów. Od świtu bowiem można spodziewać się energiczniejszej akcji sowieckiej, a przynajmniej sowieckiego lotnictwa. Jakoż okazało się następnie, że drugi rzut kolumny Naczelnego Dowództwa został istotnie odcięty przed granicą.

Do zanotowania jeszcze, że w czasie drogi dowiedzieliśmy się, iż płk. Modelski i mjr. Malinowski byli przedwczoraj w Tarnopolu. Jest to wielka ulga dla Generała, który niepokoił się o ich los. Spotkany Szef Oddz. II Sztabu Głównego potwierdził mi ze swej strony obchodzącą mnie osobiście wiadomość o Brukseli. Napełniło mnie to wielką goryczą, bo, gdybym o tym w swoim czasie wiedział, nie drżał bym teraz o los moich najbliższych.

W DRODZE DO BUKARESZTU

O godz. 6 rano znajdujemy się w małym hoteliku po rumuńskiej stronie. Pieniędzy rumuńskich nie mamy wcale, złotych brać nie chcą. Nie chcą także franków francuskich, których minimalną ilość Generał znalazł w portfelu. Na szczęście okazuje się, że w tymże hoteliku nocuje ambasador Noël i część wyższego personelu ambasady francuskiej. Generał rozmawia z ambasadorem i generałami Mousse, attaché wojskowym, oraz Faury. Gen. Faury pożycza nam kilkaset lei, dzięki czemu możemy zapłacić za hotel i posiłek. W wyniku tych rozmów Generał zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie chęć widzenia się z marsz. Śmigłym-Rydzem na terenie rumuńskim wypadło by przypłacić internowaniem. Zresztą nie wiadomo nawet, gdzie go szukać. Zamiast tedy jechać, kędy nas żandarmi rumuńscy zwracają, Generał postanawia jak najprędzej jechać w kierunku Bukaresztu.

Po wielu jednak godzinach jazdy pustymi drogami dostajemy się do Storożyniec, gdzie Rumuni przeprowadzają rewizję i odbierają broń. Udaje nam się zatrzymać pistolety. Kilku naszych generałów i wyższych oficerów jest na ulicy, gdzie się ta przykra ceremonia odbywa. Dowiadujemy się, że punktami zbornymi dla Polaków jest Radauc i Dorna Vatra. Tym bardziej postanawiamy dotrzeć do Bukaresztu. W drodze spotykamy wiele naszych aut, nawet samochody strażackie i taborów miejskich.

Zmrok zaskakuje nas w Kaczeka. Jest to wieś polska przy salinach. Poczciwi mieszkańcy wyszli aż na drogę, aby spotkać rodaków i ofiarować im gościnę. Zajeżdżamy do jednej z zagród; Polka za mężem za Rumunem. Generał zatrzymuje się obok w willi jakiegoś lekarza, zresztą Niemca; należy mu się całkowity wypoczynek. My doznajemy nadzwyczajnej wprost gościnności, i ściska nam się serce, gdy słyszymy zdania, wypowiadane na wpół z płaczem: "Umarła Polska, matka nasza!" Nie przywykliśmy jeszcze do tego i do gorzkiego chleba wygnania, który spożywamy po raz pierwszy. Zresztą przychodzą i Rumuni w wyszywanych koszulach, z wójtem wsi na czele; przynoszą wino, częstują. Pozwalają nam iść spać dopiero późno w nocy.

19-go z rana dziękujemy gospodarzom, którzy przyjmują tylko kilka złotych polskich na pamiątkę i obsypują nas błogosławieństwami na drogę. Jedziemy przez Faltinoasa, Falticzeni, Roman. Po drodze w Falticzeni spotykamy pięć czy sześć aut; w pierwszym jedzie min. Sławoj-Składkowski z żoną. Towarzyszy im marszałek dworu królewskiego hr. della Scala. Witam się z ministrem, a Rumunowi mówię, komu towarzyszę. Podbiega do naszego auta i prezentuje się Generałowi. W Roman, na rozdrożu, jest rumuński punkt meldunkowy, gdzie zasiada jakiś podpułkownik. Informuje on nas, że marsz. Śmigły-Rydz jest w Slanic. Z legitymującą się na tym punkcie grupką naszych oficerów Generał chwilę rozmawia.

Po obiedzie w Bucea, staramy się o zmianę pieniędzy, ale napotykamy na niezwalczone trudności. Spotykamy tam znowu gen. Faury, który zawiadamia Generała, że jedzie do marsz. Śmigłego-Rydza żądać imieniem Misji Francuskiej, aby gen. Sikorski był postawiony na czele polskiej akcji wojskowej we Francji. Generał przy tej okazji omawia sprawę zabrania nas od razu z sobą.

Udaję się do szefa policji, aby uzyskać pozwolenie na przejazd naszego auta do Bukaresztu. Jestem przyjęty bardzo uprzejmie, i szef policji oświadcza, że gotów jest zrobić, co tylko będzie można, dla gen. Sikorskiego, że teraz jednak musi skierować nas do Focsani, skąd dopiero można się starać o wjazd do stolicy.

W Focsani otrzymujemy wspaniałą kwaterę w zamożnym domu adwokata czy lekarza, z pokojami gościnnymi, łazienkami, kolacją i radiem. Słuchamy tego, co mówią o Polsce i co brzmi tak tragicznie. Wszyscy czterej niepokoimy się o najukochańszych i wszyscy pogodzić się nie możemy z okropnym dramatem dziejowym. W końcu młody syn gospodarstwa prowadzi nas do kawiarni, gdzie wywołujemy taką sensację, że szybko wracamy spać do domu.

Nazajutrz 20-go dowiadujemy się o zarządzeniach walutowych, które wydają nam się wprost okropne, bo redukują złote do kupy bezużytecznych papierków. Jedynie 300 złotych na osobę mają banki zmieniać po kursie 20 lei, ale robią trudności, proponując po 20 złotych dziennie. Tak przynajmniej jest w Focsani. Wreszcie, po wielu zabiegach, udaje nam się otrzymać całkowitą sumę, wypłaconą po przyłożeniu pieczątki na naszych dokumentach osobistych. Z gazet dowiadujemy się, że marsz. Śmigły-Rydz jest w Craiova, a Rząd — w Slanic. Opis sytuacji w Polsce pogłębia tylko nasze wczorajsze przygnębienie po wysłuchaniu radia.

Otrzymujemy bez trudności pozwolenie jazdy do Bukaresztu. Wyższy oficer żandarmerii, który nam je wydał, pełen jest specjalnej kurtuazji wobec nazwiska Generała. Na razie nam jednym nie odmówiono.

Kierujemy się przez Buzau i Ploesti, gdzie udaje nam się zatrzymać i zjeść doskonały obiad w szkole gospodarstwa domowego; jedyne od granicy miejsce, w którym można było rozmówić się jako tako po francusku, bo zresztą — raczej po niemiecku, gdyż jechaliśmy przez Bukowinę.

Do Bukaresztu wjeżdżamy o godz. 14, bez żadnych przygód po drodze, nawet ani razu nie zmieniając opony.

W STOLICY RUMUNII

Generał nie chce zatrzymywać się w żadnym większym hotelu, co bardzo zrozumiałe, chociaż by ze względów finansowych. Wobec tego rozpytujemy się, jak potrafimy, po drodze o jakieś najtańsze zajazdy. Kierują nas coraz dalej w głąb miasta, aż wjeżdżamy w jakąś okropną dzielnicę żydowską i zatrzymujemy się przed bardzo podejrzanego wyglądu hotelikiem. W jednej chwili obskakuje nas hałaśliwy i szwargoczący tłum. Nasze auto, o znakach polskich i noszące na sobie błoto wszystkich przejechanych dróg, budzi sensację. Wyłania się paru osobników, mówiących z żydowska po polsku, i rozpoczynają indagację. Wdają się w dociekania nad świeżą klęską Polski; pada słowo: zdrada. Generał ma tego dosyć. Uniósł się i głośno skrzyczał owego polityka, po czym kazał nam stamtąd ruszać. Jedziemy więc ku pryncypalnej alei, pięknie drzewami sadzonej. Gdzieś nie daleko od jej rogu, w jednej z bocznych uliczek, jest to, czego nam potrzeba: hotelik bardzo nie wykwintny, Bogiem a prawdą — też mocno podejrzany, z typu wynajmujących numery na godziny. Ale jest miejsce i nie jest drogo. Zatrzymujemy się zatem tu, a nasze umorusane auto Kułakowski ustawia na ulicy przed hotelem.

Po chwili Generał porozumiewa się telefonicznie z jednym ze swoich bukareszteńskich znajomych i idzie do niego, my zaś udajemy się do naszej ambasady. Jest to dość ciężka droga dla moich beznadziejnie odparzonych nóg, ale wędrujemy ze Stefczykiem i w końcu dochodzimy.

Przed kratą, za którą stoi policjant rumuński, spory tłum rodaków urządza rodzaj oblężenia. Łatwo zrozumieć, że wszyscy naraz wejść nie mogą, a każdemu zależy na pośpiechu. Udaje mi się przekonać cerbera, że chodzi mi o attaché wojskowego ppłk. dypl. Z. Nie znam go osobiście i nie bardzo wiem, jak z nim zacząć rozmowę o przybyciu Generała do Bukaresztu. Zaczynam więc mówić o sobie: że jestem wyznaczony do Brukseli, że powiedziano mi o tym dopiero na granicy, że może on pomoże mi w dostaniu się na miejsce przeznaczenia, skoro do polskich władz wojskowych, bez ryzyka internowania, dostać się nie mogę. Ppłk. Z. wpada w dobry humor. — Panie — powiada — czy pan dziecko? Toć ja tu siedzę, jak na wulkanie, i nie wiem, czy za tydzień będę jeszcze siedział, a pan chce jechać na stanowisko dyplomatyczne? A któż panu da agrément, skoro nasz Rząd nie istnieje? . . .

Widząc, że jest to człowiek, myślący realnie, zwierzam mu się, że towarzyszę gen. Sikorskiemu.

Ppłk. Z. zerwał się na równe nogi. — Z nieba mi pan spada! — zawołał, czy coś w tym rodzaju. Pobiegł zaraz do ambasadora Raczyńskiego. Wrócił po chwili z wiadomością, że ambasador pragnął by jak najrychlej zobaczyć się z gen. Sikorskim. Mnie i Stefczykowi, o którego obecności też powiedziałem, poleca możliwie szybko przebrać się po cywilnemu, aby uniknąć internowania. Ba, ale za co? Obiecuje nam zapomogę na ten cel i bierze dane do paszportów, za którymi pojedziemy dalej. Wreszcie jedzie ze mną do Generała.

Ten wieczór schodzi Generałowi na konferencjach, między innymi — z ambasadorem Noëlem, z ppłk. Z., z gen. Faury. Kładziemy się wcześnie spać przed na pewno pracowitym dniem jutrzejszym. Jesteśmy jednak już nieco lepszej myśli. Widać, że są pewne szanse wskrzeszenia za granicą naszej sprawy. O ile mamy wierzyć kursującym tu pogłoskom, nasi dostojnicy państwowi nie zdawali sobie sprawy ze swojej sytuacji w Rumunii i tak ją w rozmowach telefonicznych z nad granicy zaostrzyli, że jedynym dla ambasady sposobem, aby utrzymać się i móc pomagać przetokowi Polaków, było całkowicie odciąć się od dawnego Rządu. Podobno ppłk. Z. odmówił dlatego pojechania po nich na granicę. Dowiaduję się prócz tego, że ten oficer zajął też bardzo racjonalne i uczciwe stanowisko w sprawie czeskiej podczas Monachium, zaco spotkało go z Warszawy wiele nieprzyjemności.

Nazajutrz 20 września wypłaca nam obu ppłk. Z. po 6 tysięcy lei tytułem zasiłku ewakuacyjnego. Brzmi to pięknie, ale reprezentuje nie wiele, zwłaszcza wobec czekających nas kosztów podróży do Paryża. Szukamy dość długo sklepu z cywilną tandetą i wreszcie obaj ze Stefczykiem kupujemy dwa identyczne ubrania z pokrzywy, tylko on szare, a ja brązowe, odpowiednie buty i kapelusze oraz cywilne drobiazgi. Żyd kupiec obiecuje nam to przypasować do figury za kilka godzin, co jest konieczne, bo wyjazd projektowany na jutro. Czekamy tylko na paszporty. Spotykam Henryka Strasburgera, Pawła Morstina, Bronisława Stefanowskiego i wielu innych znajomych.

Bardzo ostre nastroje przeciw opuszczeniu wojska przez ich wodza. Poza tym następujące wieści z kraju: Warszawa broni się; Sosnkowski na swoim terenie ogłosił podobno dyktaturę; Niemcy chwalą się rozbiciem armii na Bzurze oraz Piskora pod Zamościem i wzięciem stu tysięcy jeńców; siły sowieckie w Polsce wschodniej mają wynosić trzy dywizje piechoty i dwie brygady kawalerii, niezależnie od broni pancernej.

Otrzymujemy wreszcie paszporty i zaświadczenie; trzeba się teraz starać o wizy: jugosłowiańską i francuską, bo włoska jeszcze nie wymagana, na zasadzie dotychczas respektowanej umowy między Polską a Włochami, oraz o pieczątki rumuńskie. W konsulacie polskim spotykamy znowu mnóstwo znajomych. Wpuszczani jesteśmy kolejno z podwórza do pokoi biurowych, gdzie huczy, jak w ulu.

Z wizą francuską i jugosłowiańską nie ma żadnych trudności. Jugosłowianie dają mi, jako swojemu dawnemu przyjacielowi, uroczy list do władz swego kraju, na wypadek, gdyby zaszły w drodze jakieś komplikacje.

Generał spędza wieczór na konferencji z ambasadorem Raczyńskim i attaché wojskowym ppłk. Z. Na tej konferencji Generał wskazał niektóre zasadnicze tezy: 1/ ustąpienie prezydenta Mościckiego na rzecz prymasa Hlonda, jako interrexa; 2/ konieczność stworzenia wojska, a co najmniej kadr wojskowych polskich we Francji, a więc wysyłanie tam tylko ludzi przydatnych w tym celu; 3/ uzupełnienie istniejącego memoriału Kowalewskiego danymi o przyczynach klęski, aby cień jej nie padł na naród, zamiast na rzeczywistych sprawców. Podobno internowany Rząd dotychczas nie zdaje sobie sprawy z sytuacji i gorzko wymawia Rumunom internowanie; dotyczy to rzekomo zwłaszcza Becka.

Generał ma jechać nazajutrz z amb. Noëlem i resztą ambasady francuskiej w Warszawie; tylko gen. Faury pozostaje czasowo w Bukareszcie.

PRZEZ JUGOSŁAWIĘ I WŁOCHY DO FRANCJI

Generał 22 września o godz. 10-ej wyjechał ekspresem simplońskim, zabierając z sobą Kułakowskiego. Zostajemy ze Stefczykiem w Bukareszcie, bo paszporty jeszcze niegotowe. Mamy stracha, aby jaka interwencja policyjna nie przeszkodziła nam w wyjeździe. Auto z rzeczami wojskowymi oraz bronią odprowadzamy do ambasady. Nie bierzemy z sobą nic, prócz dokumentów, aby nie narazić się na zatrzymanie gdzieś w drodze. Całe miasto od wczoraj tonie we flagach i emblematach żałoby; wczoraj był pogrzeb zamordowanego premiera Armanda Calinescu.

Oddaję attaché wojskowemu listę 10-ciu pierwszych wojskowych, jakich Generał życzy sobie mieć szybko we Francji. Poza tym podaję pp. Ładosia i Gralińskiego oraz Jerzego Kuncewicza i Stanisława Strzetelskiego z rodzinami. Gen. Kwaśniewski, któremu tu syn choruje, opowiada, że — wyznaczony dowódcą etapów — nigdy nie zdążył mieć tych etapów pod komendą. Można sobie wyobrazić, że krytycznych relacyj z tej kampanii nie zabraknie.

Przynaglamy, jak możemy, o paszporty i siedzimy cichutko w hotelu. Mimo to, nazajutrz, zjawia się komisarz policji i zaczyna indagować, czemu jesteśmy w Bukareszcie. Ratują sytuację moje legitymacje dziennikarskie, które robią wrażenie, oraz oświadczenie, że nie byliśmy kombatantami. Obaj możemy istotnie okazać czerwone legitymacje oficerów w stanie spoczynku. Mam też na kogo powołać się w Bukareszcie. Komisarz namyśla się, telefonuje, wreszcie uznaje, że szkoda czasu i daje nam spokój. Dokumentów Stefczyka na szczęście nawet nie oglądano i w tłoku uszedł też za dziennikarza.

Załatwiamy ostatnie formalności, musimy jeszcze fotografować się do rumuńskich wiz wyjazdowych i wreszcie o godz. 18 min. 55 wyjeżdżamy. Generał zostawił nam trochę pieniędzy; jedziemy 2-gą klasą, bo bezpieczniej.

Ostatnia wiadomość, jaką zakomunikowano nam przy odmeldowywaniu się u attaché wojskowego dotyczy marsz. Śmigłego-Rydza. Jest podobno pilnie strzeżony; zostawiono mu dwóch oficerów i dwa auta. Bez względu na nasz osobisty stosunek do ex-Naczelnego Wodza, ta wiadomość jest nam przykra, bo nie przywykliśmy jeszcze do skutków klęski.

Jedziemy przez Zagrzeb, Triest, Wenecję, Vicenzę, Weronę. Podróż, rozpoczęta 23 września wieczorem, trwa przez cały 24-ty i 25-ty. Nie mamy w drodze żadnych przykrości; wokół roztaczają się najpiękniejsze widoki, ale nie jesteśmy w stanie rozkoszować się nimi. Mamy ciągle w oczach broniącą się Warszawę i głodną w niej ludność. Jedzie nas, Polaków, gromadka; od niektórych dowiadujemy się sporo ciekawych rzeczy o stosunkach we Francji.

Ostatni dłuższy postój mamy w Turynie. Wyjeżdżamy stąd 25-go po obiedzie. W drodze obserwujemy znaczny ruch wojska. Bersalierzy jadą ku francuskiej i szwajcarskiej granicy. Artyleryjskie oko Stefczyka wypatruje gdzieś cały transport dział. W pociągu spotyka nas jedyna przez całą drogę rewizja dokumentów, dokonana przez faszystę w czarnej koszuli; zresztą tylko na granicach oglądano paszporty.

Późną nocą wjeżdżamy na dworzec w Modane; stajemy na ziemi francuskiej.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

* Por. nr. 34, 35 "Polski Walczącej" z b.r.

Wielkie dni "Pancernej"



Pierwsza Dywizja Pancerna jest dziś na ustach wszystkich. Jest także na oczach: w kinoteatrach brytyjskich i amerykańskich przez kilka dni wyświetlano w dodatkach aktualnych fragmenty ćwiczeń bojowych dywizji. Wiele wybitnych osób gościło ostatnimi czasy w tej wielkiej polskiej jednostce.

Był więc w Dywizji Prezydent Rzeczypospolitej. Przez cały dzień odwiedzał oddziały, zajęte pracą wyszkoleniową w polu i na kwaterach. Widział, jak wiele zapału i inteligencji wkłada żołnierz Dywizji w opanowanie zadań złożonych i wymagających wielkiej dokładności w technice i w czasie. Podziwiał młodzież wojskową, jej dojrzałość w traktowaniu służby, spraw wojennych, zagadnień ogólniejszych. Mógł stwierdzić, że zespół dowódców w olbrzymiej swej większości wypracował w oddziałach wysoką dyscyplinę techniczną i taktyczną, że dywizja opanowana jest szlachetną i wysoką ambicją doprowadzenia siebie do stanu doskonałości.

W oczach żołnierzy Dywizji widział Prezydent Rzeczypospolitej radość, zapał, dumę. Odblask tych uczuć uniósł ze sobą. Co tu mówić — nie żyjemy w czasach łatwych dla naszego Narodu — i dla innych narodów. W takich czasach prezydenci i kierownicy rządów nie mają dni spokojnych i nocy beztroskich. Wiele poważnych spraw i kłopotów biorą na siebie, a my rzadko i, na szczęście, niewiele, o tym wszystkim wiemy. Możemy tylko domyślać się, sądzić po drobnych szczegółach — o przeszkodach, zwalczanych na szczeblu najwyższych władz państwowych.

Pan Prezydent wracał z pobytu w Dywizji, po całodziennym jej objeździe, jakby wypoczęty, bardziej optymistyczny, wielce rad z wrażeń.

—Dziś będę lepiej spał . . . niż po konferencjach politycznych — oświadczył w drodze powrotnej.

Warto jest wiedzieć, że porządna i mądrze prowadzona praca budzi nie tylko zawiść i intrygi, ale że staje się także podnietą i zachętą, źródłem energii i nadziei dla innych. W takim to ożywczym nurcie ideowej pracy zanurzył się Pan Prezydent. Nie jest dla nas sprawą obojętną ten klimat, w którym rozstrzygamy sprawy różne, nieraz bardzo ważne . . .

Dywizja Pancerna jeszcze nie weszła do boju, ale już wpływ na naszą rzeczywistość wywiera przez sam fakt swych wielkich organizacyjnych osiągnięć, przez zwycięskie wybrnięcie z licznych skomplikowanych trudności. Niekażdy orientuje się w stopniu dostatecznym w trudnościach zmontowania nowoczesnej jednostki pancernej i w tym, jak wiele składa się na takie osiągnięcie elementów i wysiłków indywidualnych, a jednocześnie zgranych. Ale każdemu z Polaków na widok tej Dywizji serce zabiłoby mocniej — z dumy i radości.

* * *

Towarzyszyłem z kolei wycieczce członków Izby Gmin, którzy oderwali się od swoich odpowiedzialnych zajęć dla zapoznania się z wynikami polskiej pracy wojskowej.

Radosna wiadomość o poddaniu się Włoch zastała nas na terenie Dywizji. Dnie były pogodne. Organizacja pokazów świadczyła o wielkiej i usprawiedliwionej pewności siebie polskich dowódców i żołnierzy. Różnorodne ćwiczenia wykazały i wysoki poziom wyszkolenia i brawurę i doskonały nastrój w tej wielkiej, ożywionej jednym duchem, całości.

Posłowie byli szczerze zadowoleni. Prócz wrażeń z pracy wojskowej zebrali niewątpliwie mnóstwo materiału ogólnego, gdyż byli to Brytyjczycy o wielkim wyrobieniu życiowym, znawcy polityki i spraw wojskowych, wielu krajów obcych i wielu dziedzin naukowych i społecznych, a rozmawiali z niejednym żołnierzem.

Ciekawe są dla nas te ich wynurzenia, które słyszeliśmy. Są one bardzo wielokierunkowe.

A więc poseł kapitan Alan Grosland Graham, przewodniczący anglo-polskiego komitetu parlamentarnego, mówił:

—Jesteście doprawdy świetnym wojskiem. Nie zdziwi to jednak Anglików. Cały świat wie o wojennej wartości Polaków i nie uwierzy nikomu, kto by temu przeczył. A więc wysilcie ponadto wszystkie wasze możliwości myślowe jeszcze w jednym kierunku. Korzystajcie z każdej okazji stykania się z Anglikami dla wykazania tego, co jest faktem, że jesteście wschodnią barierą naszej wspólnej cywilizacji, że w zasadniczych liniach posiadacie z nami wspólne cechy i poglądy, jak na przykład rycerskość wobec kobiet i dzieci. Pamiętajcie, że na Anglików działa daleko silniej zetknięcie się osobiste, niż polityczna broszura, że musicie nam i Amerykanom jak najdrożej "sprzedać" prawdę o waszym kraju, któremu nie byliśmy w stanie w czas przyjść z pomocą i wobec którego mamy dług, ale o którym nie wszyscy wiemy tu dostatecznie. Przyszłość waszego kraju bardzo zależy od tego, co dla niego w tym zakresie zdołacie uczynić . . .

Poseł Graham służył w wojnie poprzedniej w Rosji i zna język rosyjski. W języku tym lapidarniej wyraził później swoją myśl:

—Dawolna wam chodit, w sztyki . . .

Jest to pewna znana cytata. Po polsku brzmiałaby, w dowolnym wyrażeniu posiadanego sensu: Nie bagnet, ale łeb rozstrzyga . . .

Kto powiedział to głupstwo, że żołnierz nie powinien myśleć? Wydaje mi się, że gdzieniegdzie pokutuje ono jeszcze, w co ciaśniejszych głowach. Dzisiejsze wojsko musi tego myśleć.

Poseł kapitan William Glenvil Hall przybył do Dywizji wprost z Kongresu Trade Unionów, na którym zbiegły się dwa fakty. Mianowicie delegaci sowieccy sze-



Generał George P. Vanier — poseł Kanady przy Rządzie Polskim niedawno odwiedził naszą Dywizję Pancerną

roko i długo wywodzili, że desant we Włoszech jest niecelowy i bynajmniej nie oznacza drugiego frontu, wobec czego proponowali, aby Kongres zajął się sprawami, które dotychczas należały i, miejmy nadzieję, będą zawsze należeć — do sztabów i premierów. Tymczasem jaskółką spadła na Kongres wieść o poddaniu się bezwarunkowym Włoch. Ta olbrzymiej doniosłości wiadomość pozostawiła delegatów sowieckich w próżni, ale brnęli oni dalej, zdanie po zdaniu tłumacząc i odczytując swe dezyderaty i pouczenia dla Wielkiej Brytanii i sojuszników. Zapytywany o wrażenia z tego fragmentu Kongresu poseł Hall tylko machnął ręką i odpowiedział, że nie słuchał tych wynurzeń. Nazajutrz, po zorientowaniu się w wartości Dywizji, nie ukrywał swego zdania:

—Z takim wojskiem zajedziecie nie tylko do Berlina, ale i dużo dalej — powiedział.

Poseł Hall służył w latach 1916-18 w *Royal Tank Corps*. Wiele się zmieniło od tego czasu w wojskach pancernych. Pędzą dziś one z szybkością prawdziwych pancerników, miażdżą przeszkody swą masą, posiadają precyzyjne działa i porozumiewają się przez radio, a pancerzem, doskonałością gąsienic i silników także w niczym nie przypominają powolnych i słabo uzbrojonych, a łatwo się psujących pierwszych czołgów.

Posłowie z wielkim zainteresowaniem odbyli przejażdżki w polskich czołgach i terenowych carriersach.

Wśród posłów byli jeszcze: pułkownik Edward Thomas Ruscombe Wickham, M.V.O., kapitan Leonard David Gammans i kapitan RAF'u Ralph Etherton, przedstawiciele partii konserwatywnej. Pierwszy z nich, doskonały znawca spraw Wschodu i wieloletni wybitny współpracownik szeregu ministeriów, był świadkiem szybkiej i skutecznej pracy polskiej we Francji i wyrażał wielkie uznanie dla Polaków, którzy w Coëtquidan i innych ośrodkach z niezwykłą determinacją i energią odbudowali armię polska, dokonując tego w warunkach niełatwych.

—Było to objawieniem i wielką nauką dla mnie — mówił poseł Wickham. — Ponieważ poseł Graham wyzwał mnie niejako, wymieniając poprawnie po polsku "Lwów," przeto i ja wymienię po polsku polskie miasto "Przemyśl." Mówiąc do was jako polityk ugrupowania, do którego należę, wyrażam przekonanie, że gdy nadejdzie właściwy czas, ludność tego kraju a wraz z nią i rząd, da wam całkowite podtrzymanie, a w walce o wasze cele — pomoc.

Akcenty polityczne były na tej wizycie z natury rzeczy bardzo lekkie, ale tym niemniej charakterystyczne. Klimat, w jakim przebywamy i pracujemy, powraca do normy nam przyjaznej. Zaważyły tu różne momenty: i nasze wysiłki i błędy naszych przeciwników i prawda historyczna i Karta Atlantycka, ale przede wszystkim ta olbrzymia potęga, jakiej dorobili się cierpliwie i metodycznie Anglosasi. W naszej skromnej skali również zbudowaliśmy realne a nowoczesne środki walki. Dywizja Pancerna jest najpoważniejszym efektem w tej dziedzinie. A jeszcze nigdy w żadnej polityce nie było takiego wydarzenia, żeby argumenty w postaci dobrego wojska nie dopomogły sprawom słusznym.

Bo bez siły nawet i najlepszy łeb niewiele zdziała, choć jest przecie skuteczniejszy, niż bagnet bez rozumu. Tak więc, podobnie jak w okazjach poprzednich, mozolnie i z trudem odbudowujemy wraz z Anglosasami pozycje, utracone przez niedostateczną troskę i nowocześnie pojętą obronność naszych posiadłości.

Te stare błędy i ta obecna praca — łączą nas w coraz lepszym zrozumieniu wzajemnym z gospodarzami.

* * *

Był także w Dywizji generał George P. Vanier, D.S.O., M.C., minister pełnomocny Kanady przy Rządzie Polskim. I on w ciągu dwu dni zapoznał się szczegółowo z pułkami i pododdziałami Dywizji. Przemawiał dwukrotnie do żołnierzy, raz po przeglądzie jednego z pułków, a drugi raz po obserwacji dragonów w natarciu. Płomienne swe przemówienia kończył po polsku. Mówił:

—Oficerowie, podoficerowie i żołnierze Armii Polskiej. Pozdrawiam was i przywożę wam słowa uznania i podziwu w imieniu Kanady. Jesteśmy dumni, że walczymy z wami w jednym szeregu. Niech Bóg was prowadzi.

Wizyta generała Vanier odbyła się po wielkich bojowych manewrach polsko-kanadyjskich, podczas których polskie i kanadyjskie oddziały pancerne starły się ze sobą w kilkudniowej zaciętej walce manewrowej. Jak wiadomo, poważna ta próba przyniosła stronom walczącym wiele nieocenionych doświadczeń przed pójściem na front.

Podczas manewrów tych i prócz tego niezależnie od nich — Naczelny Wódz przebywał wśród pancernych. Poświęcił on tej naszej najwspanialszej dziś jednostce wiele uwagi. Dywizja pójdzie do walki "zapięta na ostatni guzik," jak lubią mówić obrazowo wojskowi.

Szkoda, że Kraj nie może widzieć i słyszeć, jak sprawnie i piorunująco przewala się po polach ćwiczebnych ta masa stali i ten ogrom polskiej energii — organizacyjnej i bojowej.

Życzymy Dywizji Pancernej — po jej wielkich dniach w Anglii — jeszcze większych dni tam, gdzie jej tak niecierpliwie wyglądają spłakane niewolą oczy . . .

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

Członkowie Parlamentu Brytyjskiego w gościnie u Dywizji Pancernej. U góry obok Dowódcy Korpusu gen. Boruty Spiechowicza kpt. L. D. Gammans, poniżej /od lewej/: Ralph Etherton, kpt. Alan Graham, kpt. W. G. Hall, ppłk. E. T. R. Wickham



Bez blackoutu

Siedzę nad moim notatnikiem radio-słuchacza z uwagami, które skrzętnie poczyniłem sobie, słuchając w miesiącu sierpniu audycji polskich. Po prostu ot tak z dawnego zamiłowania. Czytam, że n.p. jedna osoba wymawiała przed mikrofonem Ajaccio jako "Ażaccio," druga "Polish Parade," jako "Parad," bo skąd speaker polski w czwartym roku pobytu w Wielkiej Brytanii ma wiedzieć, że to jest "Parejd"; inna znowu osoba po kwadransie samych pomyłek z triumfem obwieściła tytuł płyty: "Gdybym orłem był," po chwili prostując ten miły auto-satyryczny dowcip na tytuł właściwy "Gdyby orłem być." Przypominam sobie inny niezły kawał "płytowy," gdy po jednym z przemówień ministerialnych nadano z miejsca: "Co użyjem to dla nas." Także w sierpniu. Ale trzeba przyznać, że wprowadziło to pewne odprężenie i trochę pogody w monotonię pomyłek speakerowskich.

Czytam te notatki i drę kartkę po kartce, bo nie sposób spisać tego wszystkiego i trzeba raczej pocieszyć się kilkoma udanymi występami Polaków przed mikrofonem B.B.C. Trzeba przyznać, że A. Orda w koncercie transmitowanym z londyńskiego Albert Hallu z towarzyszeniem orkiestry pod dyrekcją Boulta śpiewał doskonale, że p. Moniuszko zbierał rzęsiste brawa, z których część przypadła Tadeuszowi Jareckiemu za instrumentację fragmentu "Verbum Nobile." Trzeba i należy przypomnieć, że niedawno duży sukces odniósł w B.B.C. /for Forces/ Chór Polskich Lotników pod dyrekcją Wilkosza. Zespół ten śpiewał bardzo czysto i rytmicznie z doskonałym cieniowaniem.

Nadana z płyt "Polish Parade" w wykonaniu artystów-żołnierzy teatru cieszącego się sukcesami na Środkowym Wschodzie, wzbudziła dwa zastrzeżenia: niepotrzebnie jako rzecz charakterystyczną dla polskiej muzyki zaprezentowano "jodlera" i niepotrzebna była ta stara zresztą kinowo-rosyjska piosenka o bałałajce. Odbydwie piosenki, zresztą udane, należą bezspornie do "państw ościennych," które — trzeba to przyznać — starały się zawsze wycisnąć piętno nawet na naszej muzyce lekkiej. Trzeba będzie w przyszłości zapomnieć o "jodlerach" zachodniego sąsiada Polski i o bałałajkach ze Wschodu. Trzeba będzie lansować w najpiękniejszej formie nasze własne polskie motywy, jak to w tej samej audycji zrobił Henryk Wars, nie wiem kapral czy starszy strzelec, ale myślę, że chyba nie grubsza ryba. Ta nowa orkiestra Warsa z Egiptu jest absolutnie najprzedniejsza egipska.

Z pośród audycji brytyjskich nadanych w ostatnich tygodniach dwie szczególnie utkwiły mi w pamięci. Pierwsza to zradiofonizowany wieczny spór pomiędzy dwoma sławnymi twórcami operetki brytyjskiej Sullivanem i Gilbertem. Spór ten toczył się na przestrzeni lat i — rzecz charakterystyczna — równolegle szła ich . . . współpraca. Obydwaj stali się ulubieńcami Wielkiej Brytanii a spór ich przeszedł do historii. Spierali się i kłócili przy lada okazji, nie raz stawali przed sądem.

Nie obawiano się radiofonizacji epizodów kłótni sławnych twórców "Mikada" i "Gondoliera." Tego wieczoru siedziały napewno przy głośnikach wszystkie stowarzyszenia muzyczne im. Sullivana i Gilberta, którymi dosłownie usiany jest cały teren Wielkiej Brytanii. Towarzystwa te kultywują bardzo starannie muzykę sullivanowską i teksty gilbertowskie i co pewien czas wystawiają o własnych siłach jedno z ich dzieł. Spór Sullivana i Gilberta, mimo rozmaitych wzajemnych afrontów i ostrej wymiany listów, był — jeśli rzec tak można — "wzorowym" poniekąd sporem typu brytyjskiego, który nigdy nie przekroczył granic honoru i moralności i nie wykluczył współpracy. Po prostu był sporem . . . innego, niż nasze gatunku.

Obawiam się, że w tutejszych warunkach jakiś polski Gilbert zrywając z Sullivanem współpracę, ogłosiłby treść zwierzeń osobistych Sullivana na temat normalnych kłopotów artystycznych, wypaczyłby ich sens i w tak zniekształconej formie opublikowałby w wydanej przez siebie książce. Biedny polski Gilbert! Inny gatunek. Zupełnie inny. "Gilbert był gentlemanem" — tymi słowy skończyło się słuchowisko w B.B.C.

Druga audycja angielska, której słuchałem głęboko wzruszony, to nadawane stale: "Greetings from home" — pozdrowienia z domu od ojców, matek, dzieci, rodzeństwa, żon, narzeczonych dla żołnierzy znajdujących się poza terenem Wielkiej Brytanii. "Greetings from home" wzruszyć muszą każdego żołnierza polskiego, który tak bardzo pragnąłby usłyszeć czyjś najdroższy głos. Pozdrowienia te ująć muszą prostotą wypowiedzi i typowym dla Brytyjczyków ścisłym związaniem ich z atmosferą domu. Więc powtarzają się drobne wiadomości o kwiatach, ogrodzie, o wnętrzu domu, o kominku, gramofonie, nawet o "cup of tea." Matka przemawiając do pięciu synów wymienia szybko rozmaite, rekwizytowe niemal, szczegóły wnętrza "home'u," które ich interesują. Potem idą wiadomości o sąsiadach, o książkach, potem o psie, potem o kocie, który jest "still very well."

To wszystko razem napewno żołnierzowi brytyjskiemu skraca przestrzeń i zbliża go do rodziny i domu. Na ogół pogoda i uśmiech panują w tych pozdrowieniach mikrofonowych; czasem tylko załamie się jakieś biedne matczysko i ledwie wykrztusi końcowe ciche: "God bless you — son." Ilebyśmy dali za jeden taki cichy, daleki szept z Polski. Cisza, straszliwa cisza otacza serce żołnierza polskiego . . .

W tych audycjach mówią także dzieci do ojców. Onegdaj biedne jakieś maleństwo "zacięło się" i nie mogło ruszyć z miejsca powtarzając w kółko: "Hallo daddy, hallo daddy." Wtedy w akcję wkroczyła troskliwa matka i cichym szeptem podpowiedziała: "Say I still love you, daddy." I dziecko "suflowane" mocno przez mamę, powiedziało daleko stąd rzuconemu ojcu o swojej miłości.

Myliłby się ktoś szukając w tej audycji jakichś ważnych nowin, jakichś zwierzeń żałosnych czy skarg. Broń Boże! Jakaś siostra n.p. przyniosła daleko wojującemu gdzieś bratu taką wiadomość przed mikrofon: "Hallo, Tommy dear. Daddy's been fishing, but still no fish."

Przypomniało mi to wielką scenę, która podobno miała miejsce w czasie ostatniego pobytu Winstona Churchilla w Afryce. Z okazji przybycia Prime Ministra zwołano wielkie zgromadzenie żołnierskie; w półkolu stanęły tysiące ludzi. Nastrój był uroczysty. W tym momencie na ciężarówce przed mikrofonem zjawił się Churchill i rzucił pytanie w tłum: "Chłopcy, mam pod waszym adresem ważne pytanie: "Dlaczego nie śpiewacie ulubionej piosenki "You are my sunshine?" Powtarzam tę prawdę czy anegdotę w takim brzmieniu, w jakim podało ją B.B.C. w ciekawej audycji o dziejach różnych piosenek wojennych. Czy możemy się spodziewać, że ktoś z naszych mężów stanu stanie przed mikrofonem w momencie równie uroczystym i zamiast odmieniać na wszystkie przypadki "rubieże," "wysiłek," "bój," "znój" i t.d. zapyta po prostu: "Chłopcy, dlaczego nie śpiewacie "Tanga Łyczakowskiego?"

Kult lekkiej piosenki, a nie lekceważenie i pogarda, kult piosenki, towarzyszącej bojom /"pipery" w szturmie/, towarzyszącej w pracy /"Music while you work"/—to sprawa dużej wagi społecznej. Piosenka śpiewana gromadnie przy każdej okazji — bez wstydu, bez oglądania się na to czy wypada czy nie, wyrabia poczucie wspólnoty demokratycznej, ułatwia życie i pracę, a przede wszystkim dobre samopoczucie, które następnego ranka pozwoli na grzeczne pytanie sąsiada odpowiedzieć bez wahania: "I am very well. Thank you."

WIKTOR BUDZYŃSKI

Skrzynka pocztowa

JESZCZE W SPRAWIE POMOCY JEŃCOM W NIEMCZECH

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem "Protestuję" /druk. w nr. 34 "Polski Walczącej" z b.r./ otrzymałem szereg listów od czytelników, które wskazują, że sprawy poruszone przeze mnie obchodzą nie tylko byłych jeńców. W jednym z tych listów czytam:

"Może artykuły Pańskie poruszą sumienie Rodaków i prasy, która ma czas i papier na walkę o kropki i przecinki, ale nigdy nie miała dość odwagi, aby zająć się palącą kwestią braci w obozach jenieckich." "Jeżeli chodzi o możliwości to są one olbrzymie, jeżeli chodzi o zainteresowanie się tą sprawą ze strony Rodaków — jest ono znikome."

Następują gorzkie uwagi o podziale, jaki istnieje w wojsku, gdy idzie o dowody ofiarności na te cele . . . Co do mnie wiem o pewnym starszym strzelcu, byłym jeńcu, który z otrzymywanych sześciu funtów na miesiąc, cztery, tak — cztery funty poświęca na pomoc kolegom, których zostawił w obozie. Ale to są wyjątki.

Czytam dalej: "Nie lepiej jest z emigracją cywilną. Na 20 rodzin /bezdzietne, dobrze sytuowane małżeństwa/ spotkałem tylko jedną panią, która coś niecoś orientowała się w sprawach jenieckich. Natomiast nie spotkałem ani jednej z Polek, która ofiarowałaby mi swą pomoc n.prz. w cerowaniu, przyszywaniu guzików do *battledressów* i t.p. Wszystko bardzo chętnie robią Szkotki /list jest z Edynburga — przyp. mój./ nawet te, które mają duże obowiązki własne." "Czyżby naprawdę — pytam za autorem tego listu — dla tak wielu ludzi Polska zaczynała się tam, gdzie jest wygodne życie?"

Rad jestem, że mój apel do sumienia emigracji podchwycił Wiktor Budzyński /"Bez blackoutu" w nr. 36 "Polski Walczącej"/. Ale zanim poproszę Pana Redaktora o przekazanie mojego honorarium za artykuł "Protestuję" na fundusz: "Paczek od serca," niech mi wolno będzie stwierdzić, że nadal jestem jeszcze zaskoczony rozstrzeleniem tej pomocy dla jeńców, która się wyczerpuje w dziesiątkach indywidualnych "jeniecjatyw," akcyj i funduszów a rezultaty daje tak bardzo niedostateczne.

Nie ma prawie pułku, instytucji, urzędu, gdzie by ktoś nie zbierał na jeńców. Ale ważną rzeczą jest nie to zbieranie, a tylko fakt czy za funta, którego na ten cel złożyłem d z i s i a j j u t r o, nie później, j u t r o, Redaktorze, wysłana zostanie paczka dla jeńca. Bo nikt mi nie wytłumaczy, że jest wszystko w porządku, jeżeli dzisiaj, w czwartym roku wojny do mnie, nieznanego człowieka, który przed niespełna pół rokiem był jeszcze po tamtej stronie bariery, piszą rodacy, prosząc o wskazanie im nazwisk potrzebujących pomocy jeńców, dlatego, że napisałem artykuł o ich potrzebach.

Nie jestem pierwszym, ani z pewnością najlepszym z tych, którzy stamtąd uciekli. Było ich wielu przede mną, nie jeden swoje powiedział, ale czy się cokolwiek zmieniło w rutynie naszego postępowania oraz stosunku do tych zagadnień? Czyż by miało zmienić się teraz? Późno, bardzo późno, ale zawsze lepiej, niż nigdy.

Mam prawo razem z innymi jeńcami zapytać, co się tutaj robiło w tej dziedzinie przez okres ubiegłych trzech lat? A mam prawo zapytać tym bardziej, że kiedy w terenie różni szlachetni ludzie szukają dziś możliwości zrobienia czegoś nad dotychczasowy program dla pozostających w niewoli, w londyńskim urzędzie Czerwonego Krzyża leżą poukładane według alfabetu zapotrzebowania różnych jeńców w Niemczech, czekając na swoją urzędową kolejkę, niektóre z nich o d k w i e t n i a t e g o r o k u. I nikt o tym nie wie, jeżeli sam tam nie pójdzie i nie zobaczy. Zważywszy, że takie zapotrzebowanie czyli nalepka na paczkę wydawana jeńcom w ilości 2 na miesiąc idzie często dłużej, niż dwa miesiące z obozu w Niemczech na Belgrave Square w Londynie, a tutaj jeszcze przeleży się pół roku, to odebranie przez jeńca paczki, której droga do Niemiec nigdy nie jest krótsza, niż trzy miesiące a często o wiele dłuższa, nastąpić może w najlepszym wypadku po jakimś roku czekania. Czy sobie ktokolwiek zdaje sprawę z tego, co to znaczy czekać na paczkę przez cały rok?

A przecież właśnie indywidualna inicjatywa, pójście na miejsce, wybranie nazwiska tego prostego żołnierza jeńca, który tu w Londynie nie ma przyjaciół ani krewnych, mogło by to oczekiwanie skrócić o długie miesiące, o pół roku czasami. Tu jest istota zagadnienia. Oni tam wysyłają te zapotrzebowania, jak niemy apel do rodaków, jak S.O.S. zapomnianych i skazanych na nieobecność, na głód często, na chłód i samotność. Byli kuszeni propozycjami zwolnienia, nie zamienili jednak munduru jeńca na wątpliwy przywilej cywilnej wolności i obietnicę gorliwej pracy dla wroga. Mają prawo liczyć na naszą pamięć szybką, natychmiastową, na załatwienie tej milczącej prośby od ręki.

Wzywam Czerwony Krzyż do ogłoszenia pełnej listy posiadanych zapotrzebowań, bez których nikt, najofiarniejszy nawet, indywidualnej paczki do jeńca wysłać nie może. Żaden urząd zajmujący się dobroczynnością nie powinien się zasłaniać formułką kontyngentu. Tak jak nie ma n.p. ograniczeń kontygentowych na papierosy, tak nie ma ich na prywatną ofiarność, pomysłowość oraz inicjatywę ludzką. Istnieje to ograniczenie chyba tylko w urzędniczym traktowaniu tej sprawy przez ludzi, którzy o piątej kończą zajęcia i idą do kina, na dancing, albo do domu, gdzie już dymi kolacja i gdzie gra radio, podające od czasu do czasu wiadomości o tym, że gdzieś tam ludzie cierpią i czekają, że gdzieś tam toczy się wojna.

Płacenie składek na ten czy inny fundusz jeniecki nie jest, powtarzam, żadną pomocą dla jeńców, jeżeli razem z kwitem na sumę wpłaconą ofiarodawca w ciągu tygodnia nie otrzyma nazwiska i numeru jeńca, do którego została wysłana paczka! Jeżeli z prywatnych kół zwracają się do Redakcji "Polski Walczącej" osoby, proszące o kierowanie funduszów wpłacanych na paczki nie do Czerwonego Krzyża a do społecznej instytucji, zajmującej się przygotowywaniem paczek, twierdząc, że Czerwony Krzyż te fundusze "zamraża," zamiast żeby obrócić je w natychmiastwą pomoc, to to jest jeszcze jeden dowód, jak źle te sprawy są ujęte, jak słabo zorganizowane. Nie kwestionuję niczyjej dobrej woli, ale stwierdzam, że sam fakt takiej prośby dowodzi, iż nie wszystkie możliwości i źródła pomocy wykorzystuje się tu w całej pełni.

Czytam w zamian imponujący bilans Czerwonego Krzyża, ale nie interesują mnie cyfry we funtach. Chciałbym je widzieć określone kilogramami żywności, odzieży, papierosów i książek przez ten Czerwony Krzyż wysłanych i procentowy stosunek tych wysyłek do ilości naszych jeńców w Niemczech i do ilości zapotrzebowań przez Czerwony Krzyż otrzymanych. Tylko to wydaje mi się ważne i istotne. I tylko potwierdzenia z obozu jeńców są dla mnie miarodajne, jeżeli chodzi o wymiar i skutek naszej akcji. Bo znam zbyt wielu jeńców, którzy przez okres trzyletniej niewoli otrzymali wszystkiego dwie paczki! A wiem o innych, którzy nie otrzymali nic.

Jeżeli czytam w prasie angielskiej z dnia 26 sierpnia br., że w ciągu siedemnastu dni 172.000 worków paczek, zawierających przeszło milion indywidualnych przesyłek dla jeńców odeszło do portów brytyjskich w piętnastu pociągach, interesuje mnie fakt, ile w tym milionie było paczek z nalepkami "*Polnischer Kriegsgefangener*"? I dlatego proszę Pana Redaktora razem z przyjęciem honorarium za artykuł "Protestuję" na fundusz "Paczek od serca" o zapewnienie temu funduszowi szans stania się użyteczną, szybką pomocą dla jeńców naszych na idącą zimę, w postaci wysyłanych w miarę napływania pieniędzy imiennych paczek z nalepkami, których sporą rezerwę da nam lista Czerwonego Krzyża a także o ogłaszanie nazwisk tych jeńców na łamach "Polski Walczącej."

Jacek Lis

NASZE ZADANIE W ANGLII

Szanowny Panie Redaktorze,

Pragnę dołączyć kilka słów w związku z wstępnym artykułem "Ciągle żywe zadanie" w nr. 33 "Polski Walczącej" z dnia 21-go sierpnia b.r. Oczywiście autorowi nie można odmówić dużej dozy słuszności, ale: czyżby naprawdę wroga lub niechętna nam propaganda w tym kraju, była g a t u n k o w o aż tak poważna i grożąca aż tak ponurymi konsekwencjami jak autor sądzi?

Zaryzykowałbym może nieco cyniczną tezę, że poważniejsze ograniczenie kompleksu natury erotyczno-alkoholowej w pierwszym okresie pobytu w tym kraju, było by o wiele wydatniejszym podtrzymaniem naszej niezłej opinii po upadku Francji, aniżeli najbardziej przekonywające wywody na temat przeszłości i przyszłości naszej Ojczyzny.

Może zresztą my patrzymy się z płaszczyzn naszych lotnisk rozsianych po Anglii — pod nieco innym kątem, od przeważającej ilości rodaków rozsianych po Zjednoczonym Królestwie. Nie mamy powodu cierpieć ani na kompleks niższości, ani też wyższości, poza dobrym słowem czy uśmiechem od czasu do czasu, nie reflektujemy i nie otrzymujemy czegokolwiek za darmo czy za półdarmo, nie czujemy się tu tylko przyjemnie tolerowanymi gośćmi — bowiem poza własną powinnością narodową jesteśmy również "*fighting for this country,*" bez przerwy od trzech lat i w bezpośrednim tego słowa znaczeniu.

Niemal każdy co wczoraj jeszcze siedział z nami przy stole, a dziś już nie powrócił "sponad wielkiej wody," zdawał sobie dobrze sprawę, że decydującym czynnikiem przy układaniu nowych stosunków w Europie, nie będzie ani redaktor komunistycznego pisemka, ani walijski profesor ekonomii, ani autor fantastycznych powieści, ani też wreszcie najczcigodniejszy z rzeźników Brown, czy najzacniejszy z owocarzy Smith, ale i tylko zdrowy rozsądek polityczny Wielkiej Brytanii i Stanów, co do którego chyba mało kto ma poważniejsze wątpliwości. Że decydującym momentem nie bywają zazwyczaj nawet tragiczne ofiary któregokolwiek ze zjednoczonych narodów, lecz historyczny i powszechnie znany fakt, iż głównym, wrogim celem każdego ze zbyt silnych mocarstw Europy, staje się prędzej czy później Imperium Brytyjskie, a naturalnymi jego sojusznikami inne państwa średnich rozmiarów.

Jeśli część robotniczych i drobnomieszczańskich sfer tego kraju, zapłonęła pewnego rodzaju afektem do naszego sąsiada — to jest w tym trochę podświadomego raczej oddźwięku własnych nierówności społecznych /oczywiście plus zupełna nieznajomość poza-brytyjskiej rzeczywistości/, trochę prowincjonalnego snobizmu i — niedrobna doza wdzięczności za mimowolne uchronienie Imperium od nadmiernych strat ludzkich. Ale to już całkiem inna historia, jak zwykł mawiać niegdyś wielki Kipling.

Uświadamiajmy zatem naszych miłych gospodarzy, że z nielicznych "landlordów" w naszym kraju co drugi ma zazwyczej tylko płótno w kieszeni /czym się wybitnie od ich ojczyzny różnimy/ i rozważajmy raczej prospekty wspólnych interesów powojennych, a język ten będzie prawdopodobnie bardziej zrozumiałym od może nieco przesadnego kompleksu na temat powojennej przyszłości naszego kraju.

Władysław Midowicz

Paczki świąteczne dla polskich jeńców wojennych

Wydział Jeńców Polskiego Czerwonego Krzyża komunikuje, że w roku bieżącym wysyła transport paczek świątecznych dla polskich jeńców wojennych. Skład tych paczek jest następujący:

1 paczka á 8 uncji — herbatniki czekoladowe, 1 paczka á 3 uncje — ser, 1 paczka á 4 uncje — czekolada /witaminy/, 1 paczka á 8 uncji — konserwy z łososia, 1 paczka á 8 uncji — konserwy z bekona, 1 paczka á 15 uncji — "Christmas Pudding," 1 paczka á 8 uncji — puszka syropu, 1 paczka á 8 uncji — puszka masła, 1 paczka á 16 uncji — konserwy mięsne, 1 paczka á 16 uncji — "Steak and Kidney Pudding," 1 paczka á 14 uncji — mleko kondensowane, 1 paczka á 4 uncje — cukier, 1 paczka á 2 uncje — herbata, 1 paczka á 16 uncji — świąteczne ciasto.

Paczki te są wysyłane w ramach zwykłego kontyngentu i dotychczas obowiązujących przepisów. Cena paczki wynosi 11/6 sh.

Zgłoszenia wraz z kartami zapotrzebowania należy kierować pod adresem: Wydział Jeńców. Polski Czerwony Krzyż, 34 Belgrave Sq., S.W.1. do dnia 1 października b.r.

Wydział jeńców zaznacza, że w razie niewyczerpania wyżej wymienionej ilości paczek świątecznych przez zlecenia indywidualne w ustalonym terminie P.C.K. dopełni kontyngent przewidziany i wyśle resztę paczek świątecznych pod adresem Polskich Mężów Zaufania.

Listy niedoręczone

Polski Czerwony Krzyż jest w posiadaniu listów lub wiadomości z ZSRR i Iranu które nie mogą być doręczone odbiorcom z braku adresu.

Uprasza się o podanie adresów, lub posiadanych informacji o poszukiwanych osobach do P.C.K. Wydział dla Spraw Polaków w ZSRR, 34, Belgrave Square, London, S.W.1 powołując się na datę lub numer "Polski Walczącej."

LISTY Z Z.S.R.R.

dla CHRUSZEWSKI Mieczysław od . . ., dla GIGIEL-MELECHOWICZ Zdzisław od Gigiel Teresa, dla GODLEWSKI Józef od Chmielewska, dla KLIMAN Piotr od Szulc Fr., dla KOROWICZ Marek od Weisstein Róża, dla MASTALIŃSKI Jerzy od Cyklik K., dla SZMONIEWSKI Jerzy od Starnecka Jadwiga.

LISTY Z IRANU

dla BALCERZAK Edward od Balcerzak Maria, dla JAKOWICKI Mieczysław od Jakowicka Anna, dla PRZYSZLAK Michał od Przyszlak Anna.

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,828

W załączeniu przesyłam £1 /jeden/ z przeznaczeniem na pomoc Dzieciom Polskim w Rosji.

Dr. W.M.

* * *

Przesyłam M.O. na kwotę £18.8.6 zebraną w Pułku Przeciwpancernym na pomoc Polskim Dzieciom wyewakuowanym z Rosji.

O.T. wachm.

* * *

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £5.7.6 złożoną w miesiącu sierpniu br. przez żołnierzy III dyonu, z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

M. Kazimierz kapitan

Mrs. May Willison przysyła na pomoc Dzieciom Polskim w Rosji £1.1.0.

* * *

Za miły upominek umieszczony w "Polsce Walczącej" nr. 24 składam najserdeczniejsze podziękowanie Dowódcy, pp. Oficerom i Kolegom Kompanii Sanitarnej 1 Sam. Brygady Spadochronowej, przekazując na ten sam cel kwotę £1.5.6.

Trzciński

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £27.2.6 /słownie dwadzieścia siedem funtów, dwa szylingi i sześć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,828.3.6½ /słownie: dziewięć tysięcy osiemset dwadzieścia osiem funtów, trzy szylingi, sześć i pół pensa/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Dla jeńców polskich w Niemczech: "paczki od serca"

Przesyłam kwotę £28.15.3 z prośbą o wysłanie przez Polski Czerwony Krzyż paczek papierosowych Polskim Jeńcom Saperom przebywającym w niewoli niemieckiej, wedle załączonego wykazu.

Za pozostałą sumę proszę o wysłanie takich samych paczek szeregowym innych broni.

Kwota powyższa została zebrana na ten cel w czasie otwarcia propagandowej wystawy p.t. "Poland before September 1939" w F . . . zorganizowanej przez 1. Komp. Saperów. *Dowódca 1. Komp. Saperów mjr. G.*

Przesyłam £1 na Jeńców wojennych w Niemczech.

por. S.R.

* * *

Z okazji mego odejścia z dotychczasowego "m.p." gospodarze moi Mr. and Mrs. Wilson złożyli na pomoc polskim jeńcom wojennym w Niemczech kwotę £2.

* * *

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

ppor. T.R.

* * *

Z. Nagórski ofiaruje na Jeńców Polskich w Niemczech kwotę sh.8.

W załączeniu przesyłam zebraną w Polskim Internacie Szkolnym na pomoc naszym jeńcom w Niemczech sumę £2.18.0 /słownie dwa funty, osiemnaście szylingów/.

Kwotę tę zebrałem z okazji pożegnania por. S.W.

kierownik: Jawor

* * *

Sumę £35.1.3 /słownie funtów trzydzieści pięć, jeden szyling i trzy pensy/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

P. Stefan Charaszkiewicz nadesłał: "Goering poluje na rysie" Stanisława Strzetelskiego.

* * *

Bezimiennie: 65 książek, broszur i czasopism.

* * *

Bezimiennie: Kalendarz P.C.K. Antoni Błoński: "Wracamy nad Odrę." H. Półkozic: "Polak a przyszła Polska." Karol Leskowiec: "Litwa a Polska." Lucjan Bielski: "Głos z kraju." Czesław Poznański: "Federacja ale jaka?" Władysław Kisielewski: "Propaganda połowa zwycięstw Hitlera." Karol Leskowiec: "Polska po wojnie." Dr. Manfred Lachs: "Ghetto Warszawy." Edward Ligocki: "Echa z martwego domu." "Antologia poezji współczesnej." Henryk Sienkiewicz: "Potop" t.IV. J. A. Teslar: "Angielsko-polska książka dla żołnierza." Marian Hemar: "Dwie Ziemie Święte." oraz 24 egzemplarze "Co słychać?"

* * *

Cz. Paluch nadesłał: Henryk Sienkiewicz: "Ogniem i mieczem" t. I i II. Bolesław Wdały: "Niemcy w Polsce." "Kolędy." Robert Vansittart: "Czarny rejestr." Bolesław Prus: "Omyłka." Czesław Jeśman: "Północne podróże podhalańskie." 2 egz. Antoni Bogusławski: "Szopka żołnierska" 2 egz. Czesław Jeśman: "Klejnot srebrzystych mórz." Henryk Sienkiewicz: "Potop" t. IV. A. Fiedler: "Ryby śpiewają w Ukajali." T. W. MacCallum, M.A.: "Nauka angielskiego szybko, łatwo i przyjemnie." "Walki w obronie granic." "Katechizm." Wacław Sobieski: "Historia Polski" t. I. Bolesław Prus: "Placówka." "Basic English for Polish Students" 3 egz.

* * *

Uprzejmie proszę o przesłanie załączonych broszur i książek na Bliski Wschód wzgl. wszędzie tam gdzie są poszukiwane.

Aleksander Z. P/82

Załączono: 13 książek i broszur.

Poszukiwania

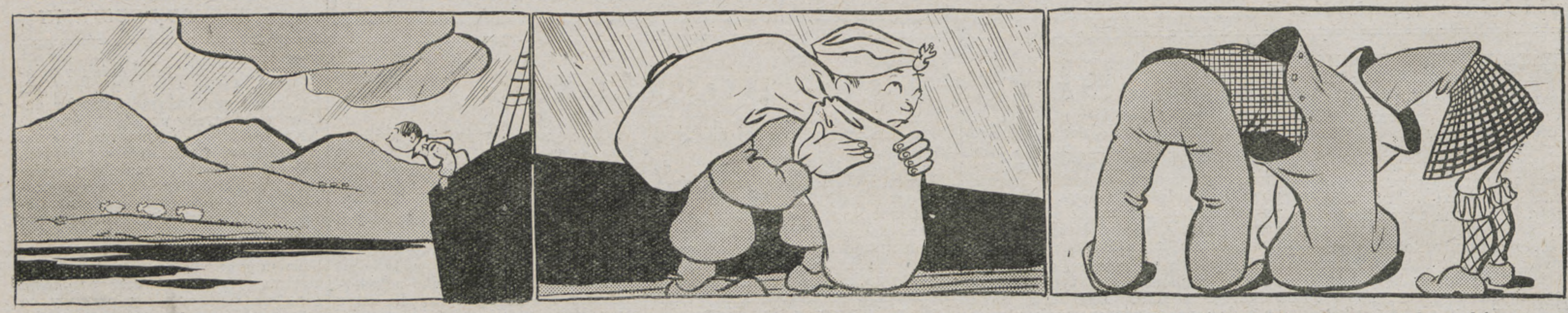
Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

52. **Oleszkiewicz** Joachim, plut. — poszukiwany przez żonę Olgę i córkę Ludwikę w Rosji /3800/5/.
53. **Osowski** Aleksander, kpr. — poszukiwany przez żonę Osowską Zofię i córkę Hannę w Rosji /3800/5/.
54. **Ostrowski** Stanisław, por. — poszukiwany przez żonę Irenę, syna Zbigniewa i córkę Danutę w Rosji /3800/5/.
55. **Osiecki** Leon, por. — poszukiwany przez żonę Zofię w Rosji /3800/26/.
56. **Pallulon** Antoni, kpt. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i córkę Krystynę w Rosji /3800/7/.
57. **Połoniewicz** Perzy, ppor. był w Kozielsku — poszukiwany przez matkę Anastazję i siostrę Stefanowicz Leokadię w Rosji /3800/34/.
58. **Popieraj** Zygmunt, kpt. był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Marię i córki Halinę oraz Leokadię w Rosji /3800/5/.
59. **Popek** Władysław, sierż. — poszukiwany przez żonę Helenę w Rosji /3800/10/.
60. **Potemkowski** Marian, por. rez. był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Józefę w Rosji /3800/34/.
61. **Rudkowski** Józef, szer. zmob. 1939 r. — poszukiwany przez matkę Annę, rodzeństwo: Annę i Michała w Rosji /3800/11/.
62. **Sadowski** Tadeusz, por. był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Jadwigę i córkę Anitę w Rosji /3800/6/.
63. **Sierkuczewski** Mieczysław, kpt. — poszukiwany przez żonę Elżbietę w Rosji /3800/34/.
64. **Sokół** Antoni, por. sap. — poszukiwany przez Prokop Tadeusza P/88.
65. **Stążkiewicz** Władysław, bosman — poszukiwany przez żonę Czesławę, córkę Irenę i syna Ryszarda w Rosji /3800/6/.
66. **Stefanowicz** Edward, ppor. rez. — poszukiwany przez żonę Leokadię i syna Jerzego w Rosji /3800/34/.
67. **Stodulski** Edward, por. — poszukiwany przez matkę Sewerynę Wandę w Rosji /3800/7/.
68. **Szczepaniak** Feliks, por. rez. — poszukiwany przez żonę Bronisławę z dziećmi: Heleną i Jerzym w Rosji /3800/26/.
69. **Tkaczyk** Fryderyk, kpt. lek. był w Starobielsku — poszukiwany przez żonę Józefę, córki: Marię i Irenę w Rosji /3800/6/.
70. **Węgliński** Edward, por. — poszukiwany przez żonę Zofię w Rosji /3800/6/ był w Starobielsku.
71. **Wiche** Józef, z D.O.K. Grodno — poszukiwany przez żonę Alicję, syna Antoniego w Rosji i dwu synów w Iraku: Rudolfa oraz Ryszarda /3800/6/.
72. **Wasilewski** Dominik, sierż. — poszukiwany przez żonę Jadwigę, synów Tadeusza i Jana w Rosji /3800/10/.
73. **Wilczyński** Eugeniusz, kpt. — poszukiwany przez żonę Katarzynę, córkę Halinę w Rosji /3800/10/.
74. **Wilewski** Zygmunt, plut. — poszukiwany przez żonę Eugenię i syna Wiesława w Rosji /3800/6/.

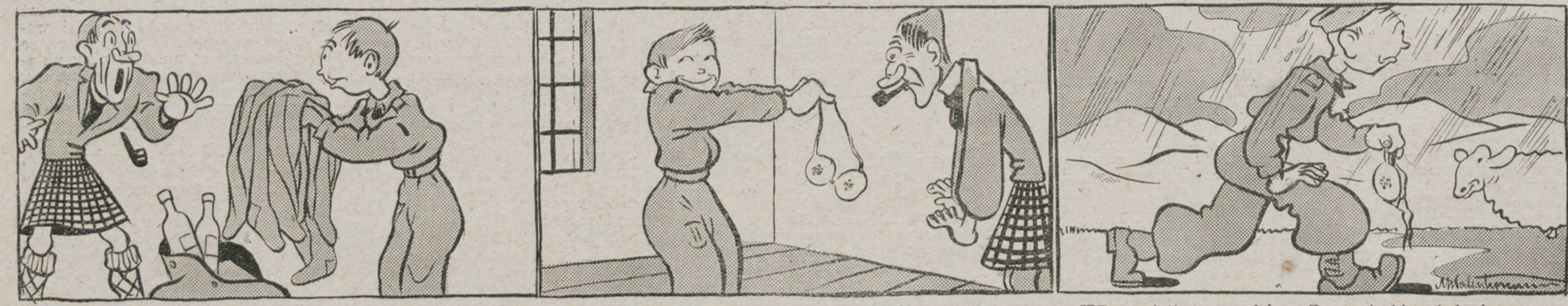
Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



Gdy Atlantyk się skończył—
Przeminęła emocja:
Konwój doszedł. Przystanek.
Stop! Wysiadać! Ląd! Szkocja!
Pożegnawszy załogę,
Pompka cisnął w kąt korki
I zarzucił na plecy
Dosyć ciężkie dwa worki.
A w tej Szkocji, na lądzie,
Jak na każdej granicy,
Zaglądali do worków
Dwaj uprzejmi celnicy.



Ja—powiedział Walenty—
Souveniry mam, proszę,
Tysiąc cygar, sukienka,
Sto jedwabnych pończoszek,
Pięć butelek Old Whisky,
Puder, kremy i szminki
I staniczek różowy
Dla najmilszej dziewczynki . . .
Po rewizji stan worków
Zasadniczo się zmienił:
Ze staniczkiem jedynie
Został Pompka w kieszeni . . .

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fieds, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.